



część pierwsza
wampirzych
dzienników

prezemieniona

morgan rice



część pierwsza
wampirzych
dzienników

przemieniona

morgan rice

przemieniona
(część pierwsza wampirzych dzienników)

Morgan Rice

WYBRANE RECENZJE PRZEMIENIONEJ

“PRZEMIENIONA jest idealną książką dla młodych czytelników. Morgan Rice wykonała kawał dobrej roboty, pisząc powieść daleko wychodzącą poza standardy zwykłych opowiadań o wampirach. O dświeżająca I unikalna, choć nadal posiada klasyczne elementy książek o tematyce paranormalnej, skierowanych do młodzieży. Część pierwsza z serii W

ampirycznych Dzienników skupia się na historii jednej dziewczyny ...
jednej niezwyklej dziewczyny! ...

PRZEMIENIONĄ dobrze się czyta, wciąga wartka akcja
Polecam każdemu, kto lubi czytać romanse paranormalne.
Oceniający PG.”

—The Romance Review

“PRZEMIENIONA zainteresowała mnie od samego początku i nie znudził a aż do końca... Ta historia jest niesamowitą przygodą, trzymającą w napięciu już od pierwszych stron książki. Nie ma w niej miejsca na nudę.

Morgan Rice świetnie się spisała, przenosząc czytelnika w ten niezwykle świat. Sprawiała, że będziesz kibicować Caitlin w jej dążeniu, do odkrycia prawdy o sobie... Już nie mogę się doczekać kolejnej książki z serii.”

—Paranormal Romance Guild

“PRZEMIENIONA to przyjemna, łatwa, nieco mroczna książka, którą szybko sięczyta...Zcałą pewnością dostarczy Ci dużo rozrywki!”

—books-forlife.blogspot.com

“Książka PRZEMIENIONA okazała się być godnym rywalem TWILIGHT i VAMPIRE DIARIES, jedną z tych książek, od których nie sposób się oderwać! Jeśli pociągają Cię książki o przygodach, miłości i wampirach, ta książka jest idealna dla Ciebie!”

—Vampirebooksite.com

“Rice udaje się wciągnąć czytelnika w akcję już od pierwszych stron, wykorzystując genialną narrację, wykraczającą daleko poza zwykłe opisy sytuacji... Dobrze napisana książka, którą bardzo szybko się czyta.

Dobry początek nowej serii o wampirach, która z pewnością okaże się być hitem wśród czytelników, którzy szukają lekkiej, wciągającej lektury.”

—Black Lagoon Reviews

Morgan Rice

Morgan Rice jest autorką bestsellerowej serii 11-stu książek o wampirach WAMPIRZE DZIENNIKI, skierowanej do młodego czytelnika; bestsellerowej serii thrillerów post-apokaliptycznych THE SURVIVAL

TRILOGY, złożonej z dwóch książek; i bestsellerowej serii fantasy THE SORCERER’S RING, złożonej z trzynastu książek.

Powieści Morgan są dostępne w wersjach audio i drukowanej, a przekłady książek są dostępne w języku niemieckim, francuskim, włoskim, hiszpańskim, portugalskim, japońskim, chińskim, szwedzkim, holenderskim, tureckim, węgierskim, czeskim, polskim i słowackim (i w kilku językach w przygotowaniu).

[PRZEMIENIONA](#) (pierwsza część serii Wampirze Dzienniki),
[ARENA ONE](#) (pierwsza część THE

SURVIVAL TRILOGY) i [QUEST OF HEROES](#) (pierwsza część serii the Sorcerer’s Ring), dostępne są do pobrania za darmo w Google Play!

Morgan czeka na wiadomości od Ciebie. Odwiedź stronę www.morganricebooks.com i dołącz do listy mailingowej, a otrzymasz bezpłatną książkę, darmowe prezenty, darmową aplikację do pobrania i najnowsze informacje. Dołącz do nas na Facebooku i Twitterze, i pozostań w kontakcie!

Powieści Morgan Rice

THE SORCERER’S RING

A QUEST OF HEROES (Book #1) – Wyprawa Bohaterów

A MARCH OF KINGS (Book #2) – Marsz Władców

A FATE OF DRAGONS (Book #3) – Los Smoków

A CRY OF HONOR (Book #4) – Zew Honoru

A VOW OF GLORY (Book #5) – Blask Chwały

A CHARGE OF VALOR (Book #6) – Szarża Walecznych

A RITE OF SWORDS (Book #7) – Rytuał Mieczy

A GRANT OF ARMS (Book #8) – Ofiara Broni
A SKY OF SPELLS (Book #9) – Niebo Zaklęć
A SEA OF SHIELDS (Book #10) – Morze Tarcz
A REIGN OF STEEL (Book #11) – Żelazne Rządy
A LAND OF FIRE (Book #12) – Kraina Ognia
A RULE OF QUEENS (Book #13) – Rządy Królowych
AN OATH OF BROTHERS (Book #14)
A DREAM OF MORTALS (Book #15)
A JOUST OF KNIGHTS (Book #16)
THE GIFT OF BATTLE (Book #17)

THE SURVIVAL TRILOGY

ARENA ONE: SLAVERSUNNERS (Book #1)
ARENA TWO (Book #2)

THE VAMPIRE JOURNALS

TURNED (Book #1)
LOVED (Book #2)
BETRAYED (Book #3)
DESTINED (Book #4)
DESIRED (Book #5)
BETROTHED (Book #6)
VOWED (Book #7)
FOUND (Book #8)
RESURRECTED (Book #9)
CRAVED (Book #10)
FATED (Book #11)

THE SORCERER'S RING



THE SURVIVAL TRILOGY



the vampire journals



[Ściągnij książki Morgan Rice!](#)

Copyright © 2011 Morgan Rice

Wszelkie prawa zastrzeżone. Poza wyjątkami dopuszczonymi na mocy amerykańskiej ustawy o prawie autorskim z 1976 roku, żadna część tej publikacji nie może być powielana, rozpowszechniana, ani przekazywana w jakiegokolwiek formie lub w jakikolwiek sposób, ani przechowywana w bazie danych lub systemie wyszukiwania informacji bez wcześniejszej zgody autora.

Ten ebook jest na licencji tylko do osobistego użytku. Ten ebook nie może być odsprzedawany lub oddawany innej osobie. Jeśli chcesz podzielić się tą książką z inną osobą, należy zakupić dodatkowy egzemplarz dla każdego odbiorcy. Jeśli czytasz tę książkę, choć jej nie zakupiłeś, lub nie została ona zakupiona dla Ciebie, powinieneś ją zwrócić i kupić własną kopię. Dziękujemy za poszanowaniem ciężkiej pracy tego autora.

Książka jest dziełem fikcji. Wszystkie nazwy, postacie, miejsca i zdarzenia są wytworem wyobraźni autorki i są fikcyjne. Wszelkie podobieństwo do nazwy, właściwości rzeczywistej osoby, jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

Jacket Image © iStock.com / Bliznetsov

„Czy to na lekarstwo

W takim ubraniu słabą wciągać piersią

Zimnego ranka zatrute oddechy?

Słaby jest Brutus; dlaczegóż, przez Boga,

Otej godzinie zdrowe rzuca łożę,

W burzliwej nocy osłabione ciało”

—William Shakespeare, *Juliusz Cezar*

SPIS TREŚCI

[Rozdział Drugi](#)

[Rozdział Trzeci](#)

[Rozdział Czwarty](#)

[Rozdział Piąty](#)

[Rozdział Szósty](#)

[Rozdział Siódmy](#)

[Rozdział Ósmy](#)

[Rozdział Dziewiąty](#)

[Rozdział Dziesiąty](#)

[Rozdział Jedenasty](#)

[Rozdział Dwunasty](#)

[Rozdział Trzynasty](#)

[Rozdział Czternasty](#)

[Rozdział Piętnasty](#)

[Rozdział Szesnasty](#)

[Rozdział Siedemnasty](#)

Rozdział Pierwszy

U Caitlin Paine pierwszy dzień w nowej szkole zawsze wywoływał niepokój.

Powodów było wiele, tych poważnych, jak nawiązywanie nowych znajomości, poznawanie nowych nauczycieli i osvajanie się z nowym środowiskiem, jak i tych pozornie mniej istotnych, jak zmiana szafki szkolnej, zapach nowego miejsca, nowe dźwięki. Bardziej niż cegokolwiek innego, Caitlin nienawidziła tych wszystkich natarczywych spojrzeń. W nowym miejscu czuła, jakby wszyscy nieustannie się na nią gapili. Niczego w świecie bardziej nie pragnęła niż anonimowości, bycia niezauważalną. Zawsze wydawało się być dokładnie odwrotnie.

Caitlin nie mogła zrozumieć, czym się tak bardzo wyróżnia. Przy 165cm wzrostu nie była jakoś szczególnie wysoka, a jej brązowe włosy i brązowe oczy oraz średnia waga pozwalały jej myśleć, że była raczej przeciętna. Na pewno nie piękna, jak niektóre dziewczyny. Miała 18 lat. To być może nieco więcej niż inni, ale bez przesady.

Musiało chodzić o coś innego. Było w niej coś takiego, co sprawiało, że ludzie nie mogli oderwać od niej wzroku. W głębi duszy Caitlin wiedziała, że jest inna niż wszyscy. Tylko jeszcze nie do końca wiedziała dlaczego.

Jeśli istniało cokolwiek gorszego od pierwszego dnia w szkole, to był to pierwszy dzień w szkole w połowie semestru, kiedy cała reszta szkoły już się poznała i nawiązała przyjaźnie. Dzisiaj miał być ten dzień, środek marca, najgorszy dzień w historii. Przeczynała, że tak będzie.

Ale w swoich najdzikszych fantazjach nie pomyślała, że może być aż tak źle.

Nic, co do tej pory widziała – a widziała wiele – nie mogło jej na to przygotować.

W lodowaty marcowy poranek Caitlin stała przed swoją nową, przerażająco wielką nowojorską szkołą publiczną, zachodząc w głowę, *dlaczego ja?* Była fatalnie ubrana, tylko w sweter i legginsy i była zupełnie nieprzygotowana na ten cały zgiełk i chaos, który tu panował. Były tu setki dzieci, wrzeszczących, piszczących i popychając się wzajemnie. Przypominało to trochę dziedziniec więzienia.

Panował ogromny zgiełk. Te dzieciaki za głośno się śmiały, za dużo przeklinały, zbyt mocno się przepychały. Można by pomyśleć, że

panuje tu jedna wielka awantura, gdyby nie w oddali dostrzeżone uśmiechy i szyderczy śmiech.

Oni najwyraźniej mieli zbyt dużo energii, a ona była wyczerpana, zmarznięta, niewyspana i nie do końca świadoma, co się z nią dzieje. Przymknęła na chwile oczy z nadzieją, że to wszystko po prostu zniknie.

Sięgnęła do kieszeni i wyczuła w niej coś – jej ipod. *Hura*. Włożyła słuchawki do uszu i nacisnęła start. Tak bardzo chciała odpłynąć w swój świat.

Nic z tego. Zerknęła w dół i zobaczyła, że bateria jest zupełnie wyładowana.

Wspaniale.

Spojrzała na telefon z nadzieją, że w nim znajdzie ratunek. Niestety – *brak nowych wiadomości*.

Podniosła wzrok. Patrząc na morze nieznanymi twarzami, czuła się bardzo samotna. Nie dlatego, że była jedyną białą dziewczyną – to jej się nawet podobało. Niektóre z jej najbliższych przyjaciółek w innych szkołach były Latynoskami, Azjatkami, Hinduskami, albo były czarne. Niektóre zaś z niej najbardziej znienawidzonych koleżanek były białe. Nie, to nie w tym tkwił

problem. Czuła się osamotniona ponieważ była w wielkim mieście. Stała na betonie. Głośny dzwonek zadzwonił, wzywając do “strefy rekreacyjnej”. Musiała więc przejść przez te ogromne, metalowe bramki. Poczwała się jak w klatce, metalowej klatce, otoczonej dodatkowo drutem kolczastym. Czuła się jak w więzieniu.

Spojrzała w górę na kraty w oknach i wcale nie zrobiło jej lepiej. Nigdy wcześniej nie miała takich problemów z odnalezieniem się nowej szkole.

Wszystkie te szkoły były jednak na przedmieściach. Wszędzie tam były trawy, drzewa i niebo. Tu nie było nic poza miastem. Czuła, jakby się dusiła. Ogarnęła ją panika.

Rozległ się kolejny głośny dźwięk dzwonka a ona, powłóczę nogami, udała się wraz z setkami innych dzieci w kierunku wejścia. Jakaś gruba dziewczyna wpadła na nią, wytrącając jej z ręki dziennik. Podniosła go (psując sobie przy tym fryzurę), a potem spojrzała w górę czekając na przeprosiny. O przeprosinach mogła jednak zapomnieć, dziewczyna już dawno zniknęła w tłumie. W oddali tylko słychać było jej śmiech.

Chwyciła mocno swój pamiętnik, jedną rzecz, która dawała jej tu poczucie bezpieczeństwa. Wszędzie zabierała go ze sobą. Przechowywała w nim notatki i rysunki z każdego miejsca, w którym do tej pory była. Był on swoistą mapą jej dzieciństwa.

W końcu dotarła do wejścia, ale żeby przejść do środka, musiała się zdrowo namęczyć. Przypominało to wchodzenie do pociągu w godzinach szczytu. Miała nadzieję, że kiedy wejdzie do środka, zrobi się jej wreszcie ciepło. Niestety, otwarte wciąż drzwi za jej plecami wpuszczały do pomieszczenia lodowaty wiatr, który sprawiał, że było jej jeszcze bardziej zimno. Dwóch potężnych strażników stało przy wejściu, a towarzyszyło im dwóch nowojorskich policjantów w pełnym umundurowaniu, z pistoletami widocznymi przy boku.

– RUSZAĆ SIĘ! – wrzasnął jeden z nich.

Nie mogła pojąć, dlaczego dwóch uzbrojonych policjantów musiało pilnować wejścia do liceum. Coraz bardziej ją to wszystko przerażało. Zrobiło się jej jeszcze gorzej, kiedy spojrzała przed siebie i zobaczyła, że będzie musiała przejść przez wykrywacz metali, używany dla bezpieczeństwa na lotniskach.

Czterech kolejnych uzbrojonych policjantów stało po obu stronach bramki, razem z jeszcze dwoma ochroniarzami.

– OPRÓŻNIĆ KIESZENIE! – warknął strażnik.

Caitlin patrzyła, jak inne dzieci wypełniają małe plastikowe pojemniki zawartością swoich kieszeni. Szybko zrobiła to samo, wyjmując swojego ipoda, portfel i klucze.

Alarm zawył, kiedy przechodziła przez bramkę.

– TY! – warknął strażnik – Na bok!

No świetnie.

Wszystkie dzieci gapily się, jak strażnik zmusza ją do podniesienia ramion i przesuwania ręczny skaner w górę i w dół po jej ciele.

– Masz na sobie jakąś biżuterię?

Dotknęła swoich nadgarstków, potem dekoltu i nagle przypomniała sobie. Jej krzyż.

– Zdejmij to – warknął strażnik.

To był naszyjnik, który babcia dała jej przed śmiercią, mały, srebrny krzyżyk, z wygrawerowanym napisem w języku łacińskim, którego nigdy nie przetłumaczyła. Babcia powiedziała jej, że dostała go od

swojej babci. Caitlin nie była religijna i tak naprawdę nie rozumiała, co to wszystko znaczy, ale wiedziała, że krzyż miał kilkaset lat i był bez wątpienia najcenniejszą rzeczą, jaką posiadała.

Caitlin ujęła go w dłoń, nie mając zamiaru go zdejmować.

– Wolałabym nie – odpowiedziała.

Strażnik obrzucił ją lodowatym spojrzeniem.

Nagle wybuchło zamieszanie. Rozległ się krzyk, gdy policjant chwycił

wysokiego, chudego dzieciaka i pchnął go na ścianie, wyjmując mu z kieszeni mały nóż.

Strażnik ruszył mu na pomoc, a Caitlin wykorzystała dogodną chwilę by zniknąć w tłumie.

Witamy w nowojorskiej szkole publicznej, pomyślała Caitlin. Wspaniale.

Zaczęła już odliczać dni do końca szkoły.

*

To był najszerszy korytarz, jaki w życiu widziała. Wydawało jej się nieprawdopodobne, by mógł się kiedykolwiek przepełnić, a tak się właśnie stało

– dzieciaki tłoczyły się tu jedno przy drugim. Musiały tu być tysiące dzieciaków, morze twarzy ciągnęło się w nieskończoność. Panował tu hałas jeszcze gorszy niż na zewnątrz, odbijał się od ścian, przytłaczał. Chciała zasłonić sobie uszy, ale miała nawet miejsca, żeby podnieść ręce. Ogarnęło ją klaustrofobicznie uczucie.

Zadzwonił dzwonek i podniosła się wrzawa.

Już późno.

Ponownie spojrzała na rozkład sal i wreszcie dostrzegła swoją klasę w oddali.

Próbowała przedrzeć się przez morze ciał, ale opornie jej to szło. W końcu, po kilku próbach, zdała sobie sprawę z tego, że jedynym sposobem jest agresywne natarcie. Zaczęła przepychać się do przodu łokciami. Jedna osoba po drugiej, powoli torowała sobie drogę przez zatłoczony korytarz, aż wreszcie pchnęła ciężkie drzwi do klasy.

Była przygotowana na te wszystkie spojrzenia, którymi mieli ją obrzucić rówieśnicy, kiedy spóźniona wejdzie do sali. Wyobrażała

sobie nauczyciela besztającego ją za zakłócanie spokoju. Jakże była zaskoczona, kiedy nic takiego się nie wydarzyło. Klasa, przeznaczona dla 30 osób, była wypełniona po brzegi ponad 50-tką nastolatków. Część z nich siedziała na swoich miejscach, a inni chodzili pomiędzy ławkami, krzycząc i kłócąc się ze sobą. Panował kompletny chaos.

Dzwonek wybrzmiał ponad pięć minut temu, ale nauczyciel, rozczochrany i ubrany w niedbały garnitur, nawet nie zaczął lekcji. W zasadzie to siedział z nogami na biurku, czytając gazetę, ignorując wszystkich.

Caitlin podeszła do niego i położyła swoją nową legitymację na biurku. Stała tam i czekała aż na nią spojrzy, ale ten nie przestawał czytać gazety.

W końcu wymownie chrząknęła.

– Przepraszam.

Niechętnie opuścił gazetę.

– Jestem Caitlin Paine. Jestem tu nowa. Wydaje mi się, że powinnam to panu dać.

– Jestem tu tylko w zastępstwie – odparł i wrócił do lektury, urywając rozmowę.

Stała tam skonfundowana.

– Więc... – zapytała – Nie sprawdza Pan obecności?

– Wasz nauczyciel wróci w poniedziałek – warknął – On się tym zajmie.

Przyjmując do wiadomości, że na tym rozmowa się skończyła, Caitlin zabrała swoją legitymację.

Odwróciła się i rozejrzała się po sali. Nadal panował w niej chaos. Jedyłą tego zaletą było to, że pozostawała niezauważona. Nikt nie zwracał tu na nią uwagi, chyba nawet nie zauważyli jej obecności.

Z drugiej strony, przebywanie w tej zatłoczonej sali wykańczało ją nerwowo, szczególnie że nie znalazła żadnego miejsca żeby usiąść.

Zebrała się w sobie i przyciskając do siebie swój dziennik, zaczęła kroczyć powoli między ławkami, starając się lawirować pomiędzy wrzeszczącymi na siebie dziećmi. Kiedy dotarła do końca, mogła wreszcie ogarnąć wzrokiem całą salę.

Było jedno wolne krzesło.

Stała tam, czując się jak idiotka i miała wrażenie, że inne dzieci zaczęły zauważać jej obecność. Nie wiedziała, co ma zrobić. Na pewno nie zamierza stać tam bez końca, a nauczyciel wydawał się być obojętny na to, co dzieje się w klasie. Odwróciła się i rozejrzała po sali bezradnie. Usłyszała śmiech dochodzący z kilku rzędów przed nią i była pewna, że był on skierowany w nią.

Nie ubierała się tak, jak inne dzieci i nie wyglądała jak oni. Nagle poczuła, jak bardzo rzuca się w oczy i jej policzki zarumieniły się natychmiast.

W chwili, gdy zaczęła rozważać opuszczenie klasy, a może nawet szkoły, usłyszała głos.

– Tutaj.

Odwróciła się.

W ostatnim rzędzie obok okna wysoki chłopiec wstał ze swojego miejsca.

– Usiądź – powiedział – Proszę.

Klasa uspokoił się trochę, wszyscy czekali na jej reakcję.

Podeszła do niego. Starła się nie patrzeć w jego oczy – duże, błyszczące zielone oczy – ledwie mogła się przed tym powstrzymać.

Był cudowny. Miał gładką, oliwkową skórę – ciężko było stwierdzić, czy był

Afroamerykaninem, Latynosem, Białym, czy może mieszanką, ale nigdy nie widziała tak gładkiej i delikatnej skóry, pokrywającej idealnie wyrzeźbioną linię szczęki. Był szczupłym chłopakiem o krótkich brązowych włosach. Było w nim coś, co sprawiało, że zupełnie nie pasował do tego miejsca. Wydawał się kruchy.

Być może był artystą.

Nigdy się jeszcze nie zdarzyło, żeby jakiś chłopak zawrócił jej w głowie.

Wiedziała, że jej przyjaciółki kochały się w chłopakach, ale ona nigdy tego do końca tego nie rozumiała. Aż do teraz.

– A Ty gdzie usiądziesz? – zapytała.

Próbowała kontrolować swój głos, ale nie zabrzmiało to przekonująco. Miała nadzieję, że nie poznał, jak była zdenerwowana.

Uśmiechnął się szeroko, ukazując idealne zęby.

– Ja usiądę tutaj – powiedział i stanął obok szerokiego parapetu, zaledwie kilka metrów dalej.

Spojrzała na niego, a on odwzajemnił jej spojrzenie. Próbowwała odwrócić wzrok, ale nie mogła.

– Dzięki – powiedziała i od razu wściekła się na siebie.

Dzięki? To wszystko na co cię stać? Dzięki !?

– Jasne, Barack! – wrzasnął ktoś – Oddaj białej dziewczynie swoje miejsce!

Klasa wybuchła śmiechem i powróciła do swoich spraw, przestając zwracać na nich uwagę.

Caitlin widziała jak opuszcza głowę zawstydzony.

– Barack? – zapytała – Tak ci na imię?

– Nie – odpowiedział czerwieniąc się – Tak mnie tylko nazywają. Od Obamy.

Myślą, że wyglądam jak on.

Spojrzała na niego uważnie i przyznała, że rzeczywiście wygląda jak on.

– To dlatego, że jestem w połowie czarny, w ¼ biały i w ¼ z Puerto Rico.

– Cóż, zdaje mi się, że to komplement – powiedziała.

– Raczej nie według nich – odpowiedział.

Obserwowała go jak siedział na parapecie, jego pewność siebie gdzieś zniknęła, oczywistym było, że był niezwykle wrażliwy. Bezbronny wręcz. On nie pasował to tej grupy. To dziwne, ale prawie czuła, że powinna go chronić.

– Jestem Caitlin – powiedziała, wyciągając rękę i patrząc mu w oczy.

Spojrzał w górę zaskoczony, a jego uśmiech powrócił.

– Jonah – odpowiedział.

Uścisnął mocno jej dłoń. Gdy poczuła jego gładką skórę na swej dłoni, dreszcz przeszedł przez jej ciało. Czuła, jakby się w niego wtapiała. Ich dotyk przeciągał się, a ona nie mogła powstrzymać uśmiechu.

*

Do przerwy śniadaniowej Caitlin zdążyła już porządnie zgłodnieć. Przez podwójne drzwi weszła do ogromnej stołówki, wypełnionej chyba tysiącem wydzierających się dzieciaków. Poczła się jak w gimnazjum. Tyle tylko, że tutaj co dwadzieścia metrów stanął w przejściu strażnik, obserwując wszystkich uważnie.

Jak zwykle nie miała pojęcia, gdzie powinna się kierować. Włóczyła się po ogromnej hali, aż w końcu natrafiła na stos tac. Wzięła jedną i stanęła w miejscu, które uznała za koniec kolejki.

– Nie wpychaj się, suko!

Caitlin obejrzała się i zobaczyła potężną dziewczynę ze sporą nadwagą, dużo wyższą od niej samej, z bardzo groźną miną.

– Przepraszam, nie zrobiłam tego specjalnie.

– Kolejka kończy się tam! – rzucił inna dziewczyna, wskazując palcem.

W kolejce stała jeszcze co najmniej setka dzieci, co oznaczało jakieś dwadzieścia minut czekania.

Kiedy ruszyła na koniec kolejki, jakiś chłopak pchnął innego, a ten przeleciał

tuż przed nią, uderzając ciężko o ziemię.

Chłopak wskoczył na leżącego i zaczął okładać pięściami jego twarz.

Na stołówce wybuchnął ryk podniecenia. Wszyscy chcieli zobaczyć walkę.

“BIJĄ SIĘ! BIJĄ SIĘ!”

Caitlin cofnęła się o kilka kroków, patrząc z przerażeniem na brutalne sceny, rozgrywające się u jej stóp.

Czterech strażników wkroczyło do akcji, rozdzielając krwawiących chłopaków.

Nie śpieszyli się z tym.

Caitlin dostała wreszcie swoje jedzenie i rozejrzała się po stołówce z nadzieją na znalezienie Jonah. Nigdzie jednak nie było po nim śladu.

Szła między ławkami, mijając stół za stołem. Było tylko kilka wolnych miejsc w niezbyt dogodnych lokalizacjach, w sąsiedztwie dużych grup przyjaciół.

Siedział wyprostowany, z doskonałą postawą, skrzypce odłożył tuż przy swojej nodze. Ostrożnie położył na stole swoje jedzenie. W tym chłopaku było coś wyjątkowego, coś, czego nie mogła zdefiniować. Był inny niż ktokolwiek, kogo do tej pory spotkała. Był jakby z innej epoki. Zdecydowanie nie należał do tego miejsca.

– Jak Ci mija pierwszy dzień szkoły? – zapytał.

– Inaczej niż to sobie wyobrażałam.

– Doskonale Cię rozumiem – odparł.

– To skrzypce?

Wskazała na instrument przy jego nodze. Rękę trzymał na zamkniętym futerale, jakby się bał, że ktoś go zaraz ukradnie.

– Właściwie to altówka. Trochę większa od skrzypiec i brzmi zupełnie inaczej. Jej dźwięk jest łagodniejszy.

Nigdy wcześniej nie wiedziała altówki, więc miała cichą nadzieję, że Jonah wyjmie ją z pudełka i pokaże jej. On jednak nie miał takiego zamiaru, a ona nie chciała być wścibska.

Wciąż trzymał rękę na futerale, wydawał się traktować ten instrument jak coś bardzo osobistego, prywatnego.

– Dużo ćwiczysz?

Jonah wzruszył ramionami.

– Kilka godzin dziennie – powiedział jakby od niechcenia.

– Kilka godzin!? Musisz być świetny!

– Jakoś sobie radzę, chociaż jest wielu lepszych ode mnie. Wierzę jednak, że dla mnie to przepustka do innego świata.

– Zawsze chciałam nauczyć się grać na pianinie – powiedziała Caitlin.

– Dlaczego więc tego nie robisz?

Chciała powiedzieć, *nigdy nie miałam pianina*, ale ugryzła się w język.

Zamiast tego wzruszyła ramionami i zawstydzona spuściła wzrok.

– Nie musisz mieć pianina – powiedział Jonah.

Spojrzała na niego, zaskoczona, że czyta jej w myślach.

– Mamy tu salę prób. Pośród wszystkich beznadziejnych rzeczy w tym miejscu, to jest ta jedna dobra. Mogę cię uczyć za darmo.

Musisz tylko się wpisać na listę.

Caitlin szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

– Mówisz poważnie?

– Lista wisi przed salą muzyczną. Poproś Panią Lennox. Powiedz jej, że jesteś moją koleżanką.

Koleżanka. Caitlin lubiła to słowo. Przepęłniło ją uczucie szczęścia.

Uśmiechnęła się szeroko, na krótką chwilę ich spojrzenia spotkały się.

Znowu nie mogła oderwać wzroku od jego błyszczących, zielonych oczu. W

głowie pojawiły się miliony pytań: *Czy ma dziewczynę? Czemu jest dla niej taki miły? Czy mu się podoba?*

Ale zamiast je zadać, znowu ugryzła się w język i zamilkła.

Ich wspólny czas powoli dobiegał końca, a ona próbowała znaleźć w myślach temat, który mogłaby poruszyć, by przedłużyć tę chwilę. Chciała znaleźć powód do następnego spotkania. Zamiast tego wpadła w panikę i zamarła.

W chwili gdy chciała już coś powiedzieć, rozległ się dzwonek.

W pomieszczeniu zawrzało, Jonah wsadził od stołu i chwycił swoją altówkę.

– Jestem spóźniony – powiedział i podniósł swoją tacę.

Spojrzał na jej tacę.

– Mogę odnieść też twoją?

Opuściła wzrok, uświadamiając sobie, że kompletnie o niej zapomniała.

Kiwnęła głową.

– OK – powiedział.

Jonah znowu stał się nieśmiały, nie wiedział, co powiedzieć.

– No to... do zobaczenia.

– Na razie – odpowiedziała prawie szeptem.

*

Jej pierwszy dzień w szkole dobiegł końca. Chociaż tego słonecznego marcowego popołudnia wiał silny wiatr, ona nie czuła już zimna. Nawet gwar wybiegających ze szkoły dzieci przestał jej

przeszkadzać. Czowała, że żyje, że jest wolna. Reszta dnia minęła bez większych wrażeń; nie mogła sobie przypomnieć nazwiska ani jednego nowego nauczyciela.

Nie mogła przestać myśleć o Jonahu.

Zastanawiała się, czy w stołówce zrobiła z siebie idiotkę. Bełkotała coś pod nosem; nie zadała mu prawie żadnego pytania. Jedyne pytanie, na jakie wpadła,

było o tą głupią altówkę. Powinna była zapytać gdzie mieszka, skąd pochodzi, gdzie zdaje do college'u.

A przede wszystkim, czy ma dziewczynę. Ktoś taki jak on musiał się z kimś spotykać. W tym momencie ładna, dobrze ubrana Latynoska mignęła jej przed oczami. Czy to mogła być jego dziewczyna?

Caitlin skręciła w 134-tą ulicę i na chwilę zapomniała dokąd idzie. Po raz pierwszy przemierzała tą drogę i na chwilę zupełnie straciła orientację w terenie.

Stała na rogu zagubiona. Chmura przysłoniła słońce i podniósł się silny wiatr, nagle znowu zrobiło się jej zimno.

– Hej, amiga!

Spoglądając za siebie, Caitlin uświadomiła sobie, że stoi przed obskurnym sklepem monopolowym. Czterech obleśnych facetów siedziało na plastikowych krzesłach przed wejściem, pozornie nie zwracając uwagi na zimno, szczerząc się do niej, jakby była jakimś smakowitym kąskiem.

– Podejź tu, mała! – krzyknął któryś.

Już sobie przypomniała.

132-ga ulica. To wiele wyjaśnia.

Szybko odwróciła się na pięcie i żwawo ruszyła w dół bocznej ulicy. Kilka razy oglądała się przez ramię, chcąc się upewnić, że nikt za nią nie idzie. Na szczęście, nikogo tam nie było.

Zimny, przeszywający wiatr stanowił dopełnienie podłej rzeczywistości, w której się znajdowała. Patrzyła na porzucone samochody, ściany zamazane graffiti, druty kolczaste i kraty w oknach i nagle znowu poczuła się bardzo samotna.

Ogarnął ją niepokój.

Wydawało się, że od domu dzielą ją lata świetlne, choć w rzeczywistości były to zaledwie trzy przecznice. Żałowała, że nie

ma przy swoim boku przyjaciela, a jeszcze lepiej, Jonaha. Zastanawiała się, jak zniesie te codzienne samotne powroty do domu. Po raz kolejny poczuła złość na swoją mamę. Jak ona mogła bez przerwy kazać jej się przenosić w te okropne miejsca? Kiedy to się wreszcie skończy?

Usłyszała dźwięk bitej szyby.

Serce Caitlin zaczęło szybciej bić, gdy kontem oka dostrzegła ruch po drugiej stronie ulicy. Szła szybko z opuszczoną głową, ale kiedy podeszła bliżej, usłyszała krzyki i drwiący śmiech. Nie mogła nie zauważyć, co się tam dzieje.

Czterech dryblasów, po 18 może 19 lat, stało nad młodym chłopakiem. Dwóch z nich unosiło go za ramiona, podczas gdy trzeci bił go po brzuchu, a czwarty okładał pięściami jego twarz. Dzieciak, może 17-letni, wysoki, chudy i bezbronny, padł na ziemię. Dwóch chłopaków podeszło i kopnęło go w twarz.

Wbrew sobie, Caitlin patrzyła na to w osłupieniu. Była przerażona. Nigdy nie widziała czegoś podobnego.

Pozostali bandyci zrobili kilka kroków wokół swojej ofiary, a potem zaczęli okładać chłopaka ciężkimi kopniakami.

Caitlin przestraszyła się, że zakopią tego dzieciaka na śmierć.

– NIE! – krzyknęła.

Kiedy wymierzili kolejny cios, rozległ się przerażający dźwięk. Nie był to jednak dźwięk łamanych kości, a raczej pękającego drewna. Caitlin dostrzegła, jak zbiry depczą niewielki instrument muzyczny. Przyjrzała się uważniej i zrozumiała, że to kawałki altówki leżą rozrzucone po całym chodniku.

Dłonią zakryła usta w przerażeniu.

– Jonah!?

Bez chwili namysłu, Caitlin przebiegła na drugą stronę ulicy, prosto w grupę mężczyzn, którzy dopiero teraz zauważyli jej obecność. Na ich twarzach pojawiły się złowieszcze uśmiechy. Podeszła do ofiary i zrozpaczona upewniła się, że leży tam Jonah. Jego twarz była posiniaczona i cała we krwi. On sam był nieprzytomny.

Spojrzała na grupę napastników, jej gniew przerósł strach. Stała między Jonahem a nimi.

– Zostawcie go w spokoju! – krzyknęła.

Prawie dwumetrowy mięśniak stojący w środku zaczął się głośno śmiać.

– Bo co nam zrobisz? – zapytał niskim głosem.

Caitlin poczuła jak jej świat zawirował i zdała sobie sprawę, że została mocno pchnięta na ziemię. Upadek na beton tylko trochę zamortyzowała rękami.

Kątem oka dojrzała jak jej dziennik przelatuje nad głowami, a luźne kartki unosi wiatr.

Usłyszała rechot i zbliżające się do niej ciężkie kroki.

Serce wyrywało się jej z piersi, adrenalina uderzyła do głowy. W ostatniej chwili udało jej się podnieść i nie myśląc wiele popędziła w dół alejki, próbując ratować swoje życie.

Oni biegli tuż za nią.

W jednej z wielu szkół, do których chodziła, zaczęła trenować lekkoatletykę.

Okazało się nawet, że jest w tym niezła. Właściwie to była najlepsza w całym zespole. Może nie na długich dystansach, ale na pewno w sprincie na 100 metrów.

Była nawet szybsza od większości facetów. Ten moment wywołał falę wspomnień.

Biegła, jakby od tego miało zależeć jej życie, a oni nie byli w stanie jej dogonić.

Caitlin spojrzała za siebie i z optymizmem stwierdziła, że zostawiła ich daleko w tyle. Teraz wystarczyło tylko skrócić we właściwą stronę.

Ulica, którą biegła, zaraz miała się skończyć i Caitlin musiała zdecydować, czy skrócić w prawo, czy w lewo. Jeśli chciała utrzymać dystans między nią a napastnikami, musiała dokonać szybkiego i ostatecznego wyboru. Nie było czasu sprawdzać, co dzieje się za każdym z zakrętów. Na oślep skróciła w lewo.

Modliła się, żeby to był dobry wybór. *Musi się udać!*

Serce jej zamarło, kiedy ostro skręcając w lewo wbiegła prosto w zamkniętą uliczkę.

Zły wybór.

Ślepy zaułek. Natychmiast podbiegła do ściany, szukając jakiegokolwiek drogi ucieczki. Uświadamiając sobie, że jej tu nie

znajdzie, odwróciła się w oczekiwaniu na napastników.

Zdyszana patrzyła jak chuligani wybiegają z za rogu prosto na nią. Pomiedzy ich sylwetkami dojrzała, że gdyby skręcił w prawo, byłaby już w domu bezpieczna.

Jasne. Takie miała szczęście.

– Dobra, suko – wycedził przez zęby jeden z nich – teraz będzie bolało.

Wiedzieli, że odcięli jej jedyną drogę ucieczki, szli więc powoli w jej stronę, ciężko oddychając, szczerząc zęby i rozkoszując się wizją nadchodzącej jatki.

Caitlin zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech. Podświadomie miała nadzieję, że Jonah ocknie się i jakimś cudem wyłoni się z za rogu, wszechmocny, gotowy by ją uratować. Jednak kiedy otworzyła oczy, jego tam nie było. Byli za to ci bandyci. I to coraz bliżej.

Pomyślała o swojej mamie, o tym, jak jej teraz nienawidziła, o tych wszystkich miejscach, w których przyszło jej żyć. Pomyślała o swoim bracie –

Samie. Myślała, jak jej życie będzie wyglądało, jeśli uda się jej wyjść z tego cało.

Całe życie przeleciało jej przed oczami. Myślała o tym, jak była traktowana, o tym, jak nie była przez nikogo rozumiana, o tym, jak nic nigdy nie szło po jej myśli. I coś w niej pękło.

Poczuła, że ma już dość.

Nie zasłużyłam sobie na to!

I nagle *to* poczuła.

To był impuls, nigdy wcześniej czegoś takiego nie przeżyła. Zalała ją fala wściekłości, burząc jej krew w jej żyłach. Uczucie promieniowało z brzucha i ogarniało całe jej ciało. Czowała, że jej stopy wtapiają się w beton, jakby stawała

się z nim jednością. Wtedy też poczuła pierwotną siłę, wzbierającą jak wzburzona rzeka, przepływającą przez jej nadgarstki, ręce, aż do ramion.

Caitlin wydała z siebie dziki ryk, który zaskoczył i przeraził nawet ją. Kiedy pierwszy chłopak podszedł do niej i swoją tłustą łapą złapał jej nadgarstek, obserwowała tylko jak jej dłoń, jakby samoistnie, chwyta za nadgarstek atakującego i wykręca go do tyłu

pod kątem prostym. Usłyszała jak jego nadgarstek, a następnie całe ramię, pękają w pół, a on wyje z bólu, padając na kolana.

Oczy trzech pozostałych chłopaków otworzyły się szeroko ze zdumienia.

Największy z trzech wyrostków natychmiast podbiegł do niej.

– Ty ku-

Zanim zdążył dokończyć, podskoczyła i wbiła obie nogi w jego pierś, fundując mu co najmniej trzymetrowy lot prosto w stos metalowych pojemników na śmieci.

Upadł w nie bez ruchu.

Pozostali spojrzeli po sobie przerażeni i zszokowani.

Caitlin zrobiła kilka kroków w ich stronę i poczuła napływ nieludzkiej siły.

Warcząc uniosła za fraki dwóch chłopaków (każdy z nich był od niej dwa razy większy) kilka centymetrów nad ziemię. Gdy wisieli tak w powietrzu, wykonała zamach i obila ich o siebie nawzajem z nieprawdopodobną siłą. Oboje upadli na ziemię.

Caitlin stała tam dysząc i piniąc się z wściekłości.

Żaden z chłopaków się nie ruszał.

Nie poczuła jednak ulgi. Wręcz przeciwnie, chciała więcej. Więcej zbirów do walki. Więcej ciał, którymi mogłaby rzucać.

I chciała czegoś jeszcze.

Nagle doznała wizji, skupiła wzrok na ich wyeksponowanych szyjach. Wzrok nieprawdopodobnie jej się wyostrzył. Z miejsca, gdzie stała, widziała żyły pulsujące w każdym z gardeł. Chciała gryźć, by zaspokoić swój głód.

Nie rozumiejąc, co się z nią dzieje, odrzuciła głowę do tyłu i wydała z siebie nieziemski krzyk, odbijający się od budynków echem. To był pierwotny okrzyk zwycięstwa i niespełnionej wściekłości.

To był krzyk zwierzęcia, które chciało więcej.

Rozdział Drugi

Caitlin stała oszołomiona przed drzwiami do swojego mieszkania i dopiero po chwili zorientowała się, gdzie jest. Nie miała pojęcia, jak się tam znalazła.

Ostatnią rzeczą, jaką pamiętała, była ten ślepy zaułek. Jakimś cudem dotarła się do domu.

Nagle uderzyła ją fala wspomnień ostatnich wydarzeń. Chciała wymazać je z pamięci, ale nie mogła. Spojrzała na swoje ramiona i dłonie, spodziewając się, że będą wyglądały jakoś inaczej, ale były zupełnie normalne. Wyglądały jak zawsze.

Ta cała furia jakby przetoczyła się przez nią, przeistoczyła ją, po czym jakby znikła bez śladu.

Mimo wszystko odczuwała pewne skutki, była wycieńczona, odrętwiała. I poczuła coś jeszcze. Nie mogła tego sprecyzować. Obrazy migwały jej przed oczami, obrazy tych wyeksponowanych gardeł. Pulsująca w ich żyłach krew. I poczuła głód. Pragnienie.

Caitlin bardzo nie chciała wracać do domu. Zwłaszcza dzisiaj nie chciała oglądać swojej matki, rozpakowywać się, układać rzeczy w pokoju. Jeśli nie robiłaby tego dla Sama, pewnie odwróciłaby się na pięcie i odeszła. Nie miała pojęcia, dokąd by poszła... wystarczyłoby jak najdalej stąd.

Wzięła głęboki oddech i wyciągnęła rękę do klamki. Albo to klamka była taka ciepła, albo jej ręka taka lodowata.

Caitlin weszła do zbyt jasnego mieszkania. Czowała zapach jedzenia gotowanego, a raczej odgrzewanego w kuchni. Sam. Zawsze wracał wcześniej do domu i robił sobie kolację. Jej mamy nie będzie w domu jeszcze przez dobrych kilka godzin.

– Nie wygląda mi to na udany pierwszy dzień w szkole.

Caitlin odwróciła się zszokowana, słysząc głos mamy. Ta siedząc na kanapie, paliła papierosa i przyglądała się Caitlin z pogardą.

– Tak szybko udało Ci się zniszczyć ten sweter?

Caitlin spojrzawszy w dół i dopiero zauważyła brudne plamy; prawdopodobnie po upadku na beton.

– Co tu robisz tak wcześnie? – zapytała Caitlin.

– Dla mnie też to był pierwszy dzień – warknęła – Nie jesteś jedyna. Mało pracy. Szef puścił mnie wcześniej do domu.

Caitlin nie mogła znieść jej pogardliwego tonu. Nie dzisiaj. Zawsze była w stosunku do niej opryskliwa, a dziś czara się przełamała. Postanowiła odgryźć się matce.

– Świetnie – Caitlin odpysknęła – To znaczy, że znowu się przenosimy?

W jednej chwili jej matka zerwała się na równe nogi.

– Uważaj co mówisz, gówniaro! – krzyknęła w złości.

Caitlin wiedziała, że matka tylko czekała na pretekst, by wybuchnąć.

Wystarczyło ją tylko sprowokować i mieć to już z głowy.

– Nie powinnaś palić przy Samie – dodała chłodno Caitlin, a następnie weszła do swojego małego pokoju, zatrzęsła za sobą drzwi i przekręciła w nich klucz.

Matka natychmiast zaczęła dobijać się do drzwi.

– Wyjdź stamtąd natychmiast smarkulo! Jak się odzywasz do matki !?

Przypomnij sobie, kto cię utrzymuje

Tego wieczoru Caitlin była tak rozkojarzona, że myślami była w stanie zagłuszyć nawet krzyki swojej mamy. W głowie odtwarzała wydarzenia z minionego dnia. Dźwięk śmiechu tych zbirów. Dźwięk jej własnego serca walącego w piersi. Dźwięk jej ryku.

Co właściwie się tam wydarzyło? Skąd znalazła w sobie taką siłę? Czy był to zwykły zastrzyk adrenaliny? Jakaś jej część miała nadzieję, że tak było. Z drugiej strony wiedziała, że było inaczej. Czym ona się stała?

Walenie do jej drzwi nie ustawało, ale Caitlin ledwie je dostrzegała. Jej komórka leżała na biurku, wibrując jak szalona, zawiadamiając o nadchodzących, smsach, e-mailach, czatach i wiadomościach z Facebooka – ich też zdawała się nie zauważać.

Przez małe okienko spojrzała w dół na róg ulicy Amsterdam i wtedy niespodziewany dźwięk rozległ się w jej głowie. To był dźwięk głosu Jonaha.

Niski, głęboki, kojący głos. Przed oczami miała jego uśmiech. Przypomniała sobie, jak delikatny był, jak kruchy się wydawał. Potem zobaczyła go leżącego na ziemi, krwawiącego, jego cenny instrument roztrzaskany na kawałki. Wzbierała w niej nowa fala gniewu.

Jej gniew przekształcił się w niepokój, niepewność czy wszystko z nim w porządku, czy dał sobie radę, czy dotarł do domu.

Wyobrażała sobie, jak dzwoni do niej. Caitlin. *Caitlin*.

– Caitlin?

Tym razem inny głos wybrzmiał za jej drzwiami. Głos chłopca.

Zdezorientowana, warknęła na niego.

– To ja, Sam. Wpuść mnie.

Poszła do drzwi i oparła o nie głowę.

– Mama wyszła – powiedział głos po drugiej stronie – Poszła na dół zapalić.

Proszę Cię, wpuść mnie.

Uchyliła drzwi.

Sam stał tam, patrząc na nią swoimi zmartwionymi oczami.

Wyglądał na dużo starszego niż 15 lat. W tak młodym wieku miał już ponad 180cm wzrostu, przy

czym nie zdążył jeszcze nabrać masy, więc wyglądał trochę nieporadnie. Byli do siebie podobni, oboje mieli ciemne włosy i brązowe oczy. Zdecydowanie wyglądali na rodzeństwo. Caitlin widziała troskę na jego twarzy. Kochał ją najbardziej na świecie.

Wpuściła go do środka i szybko zamknęła za nim drzwi.

– Sorry – powiedziała – Nie mam siły się z nią dzisiaj użerać.

– O co poszło tym razem?

– Jak zwykle. Przyczepiła się do mnie, jak tylko weszłam do domu.

– Wydaje mi się, że miała ciężki dzień – powiedział Sam, próbując je jakoś pogodzić, jak zawsze – Mam nadzieję, że nie zwolnili jej znowu.

– Kogo to obchodzi? Nowy Jork, Arizona, Teksas ... Co za różnica co będzie następane? Nigdy nie przestaniemy się przeprowadzać.

Sam usiadł na jej krześle i ponuro zmarszczył brwi, a ona od razu poczuła, że nie powinna była tego mówić. Czasem miała zbyt cięty język, mówił coś bez zastanowienia, a później chciała to cofnąć.

– Jak Ci minął pierwszy dzień? – zagadała, starając się zmienić temat.

Wzruszył ramionami.

– Chyba OK – nogą pukał w krzesło.

Spojrzał w górę.

– A twój?

Wzruszyła ramionami. Coś musiało być w jej wyrazie twarzy, albo w tym, jak to powiedziała, bo nie przestawał na nią patrzeć.

– Co się stało?

– Nic – powiedziała niepewnie i odwrócił się do okna.

Czuła, że ją obserwuje.

– Wyglądasz ... inaczej.

Zamarła na chwilę, zastanawiając się, czy coś w jej wyglądzie wzbudziło jego podejrzenia.

Przełknęła ślinę.

– Co masz na myśli?

Cisza.

– Nie wiem – odpowiedział w końcu.

Wyjrzała przez okno, obserwując bezwiednie jak człowiek na rogu sprzedaje chłopakowi narkotyki.

– Nienawidzę tego nowego miejsca – powiedział.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

– Ja też.

– Zacząłem nawet myśleć o ... – opuścił głowę – ... ucieczce stąd.

– Co masz na myśli?

Wzruszył ramionami.

Spojrzała na niego. Wydawał się bardzo przygnębiony.

– Dokąd? – zapytała.

– Może ... znaleźć ojca.

– Niby jak? Nie mamy pojęcia, gdzie on jest.

– Mógłbym spróbować. Mógłbym go znaleźć.

– Jak?

– Nie wiem Ale mogę spróbować.

– Sam. Przecież nawet nie wiemy, czy on żyje.

– Nie mów tak! – wrzasnął, a jego twarz stała się jaskrawoczerwona.

– Przepraszam – powiedziała.

Uspokoił się po chwili.

– A nigdy nie przyszło Ci do głowy, że nawet jeśli go znajdziemy, to może się okazać, że on nie chce nas znać? Przecież to on odszedł. I

nigdy nie próbował się z nami skontaktować.

– Może mama mu nie pozwalała.

– A może po prostu nie chciał.

Zmarszczka na czole Sama zrobiła się jeszcze głębsza i znowu zaczął pukać nogą w krzesło.

– Znalazłem go na Facebooku.

Oczy Caitlin otwały się szeroko ze zdziwienia.

– Znalazłeś go?

– W sumie nie jestem pewien. Były 4 osoby pod tym nazwiskiem. 2 z nich zablokowane, bez zdjęcia. Do obu wysłałem wiadomość.

– I co?

Sam pokręcił głową.

– Nic, nie odpowiedzieli.

– Tata założyłby konto na Facebooku?

– A może, skąd wiesz? – odpowiedział defensywnie.

Caitlin westchnęła i podszedł do swojego łóżka. Położyła się. Wpatrywała się w poźółkły sufit, odpadającą farbę i zastanawiał się, jak mogło do tego dość.

Były miasta w których było im dobrze, momenty, w których nawet ich matka wydawała się niemal szczęśliwa. Jak wtedy, gdy spotykała się z tym facetem.

Przynajmniej na tyle szczęśliwa, żeby się jej nie czepiać.

Były miasta, jak to w którym żyli ostatnio, gdzie i ona i Sam nawiązali kilka przyjaźni, gdzie wydawało się, że mogliby zatrzymać się na dłużej, przynajmniej na tyle długo, by skończyć szkołę w jednym miejscu. A potem wszystko stało się tak szybko. Znowu pakowanie. Pożegnania. Czy proszenie o normalne dzieciństwo to zbyt wiele?

– Mógłbym wrócić do Oakville – powiedział nagle Sam, przerywając potok jej myśli. To było ich ostatnie miasto. To niesamowite, jak on zawsze wiedział, o czym myślała – Mógłbym zatrzymać się u przyjaciół.

Nagle to wszystko zaczęło ją przerastać. Po całym dniu nie myślała już jasno, a w jej stanie, ze słów Sama zrozumiała tyle, że gotowy był ją porzucić i że już go nie obchodziła.

– A idź sobie! – rzuciła bez namysłu. Jakby ktoś inny to powiedział. Usłyszała oziębłość w swoim własnym głosie i natychmiast tego pożałowała.

Dlaczego musiała tak wybuchać? Dlaczego nie mogła nad sobą panować?

Gdyby nie była w tak podłym humorze, gdyby była trochę spokojniejsza, gdyby nie miała tylu zmartwień, nie powiedziała by tego. Albo chociaż ujęłaby to inaczej. Powiedziała by coś w stylu, *Wiem, co masz na myśli. Wiem, że nigdy byś nie wyjechał, bez względu na to, jak źle by tu było. Nie zostawiłbyś mnie tu, że bym sama sobie z tym wszystkim radziła. I kocham Cię za to. I ja też nigdy Cię nie opuszczę. W tym spałym dzieciństwie przynajmniej mamy siebie.* Jej podły nastrój wydobyl z niej jednak to, co najgorsze. Zachowała się samolubnie i wybuchła.

Usiadła i zobaczyła ból wryty na jego twarzy. Chciała cofnąć te słowa, powiedzieć, że jest jej przykro, ale była tym wszystkim zbyt przytłoczona. Nie mogła się zmusić do mówienia. W ciszy Sam powoli wstał z krzesła i wyszedł z jej pokoju, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Idiotka, pomyślała. Jesteś beznadziejna. Dlaczego musisz traktować go w taki sam sposób, w jaki matka traktuje ciebie?

Z powrotem położyła się na łóżku i utkwiała wzrok w suficie. Dotarło do niej, że wybuchła z innego powodu. Sam przerwał potok jej myśli. I to w najgorszym momencie. W momencie, kiedy pogrążona była w swoich najczarniejszych myślach i przerwał je jeszcze zanim mogła sobie z nimi poradzić.

Były facet jej matki. Trzy miasta temu. To był jedyny moment, kiedy jej mama rzeczywiście wydawała się być szczęśliwa. Frank. 50 lat. Niski, napakowany, łysy. Potężny jak kłoda. Śmierdział tanią wodą kolońską. Miała wtedy 16 lat.

Stała wtedy w małej pralni, składała swoje ubrania, kiedy Frank pojawił się w drzwiach. Był taki obleśny, zawsze gapił się na nią lubieżnie. Schylił się i podniósł parę jej majtek, czuła jak się czerwieni z zakłopotania i złości. Podniósł

je i uśmiechnął się szeroko.

– Chyba coś Ci wypadło – powiedział, szczerząc zęby. Wyrwała mu je z ręki.

– Czego chcesz? – odwarknęła.

– Czy w taki sposób zwraca się do nowego ojczyma?

Zrobił pół kroku bliżej.

– Nie jesteś moim ojczymem.

– Ale będę – już niedługo.

Chciała wrócić do składania swoich ubrań, ale podszedł jeszcze bliżej. Zbyt blisko. Serce waliło jej w piersi.

– Myślę, że nadszedł czas, abyśmy poznaliśmy się nieco lepiej – powiedział, rozpinając swój pasek – Jak myślisz?

Przerażona, próbowała precyzyjnie się obok niego do wyjścia, ale w chwili kiedy go mijała, on zablokował jej drogę, chwycił za ramiona i uderzył plecami o ścianę.

I wtedy to się stało.

Oślepiła ją wściekłość. Furia niepodobna do niczego, czego kiedykolwiek doświadczyła. Czowała jak gorąco ogarnia jej całe ciało. Gdy tylko się zbliżył, podskoczyła i kopnęła go obiema nogami prosto w klatkę piersiową.

Pomimo, że była od niego dużo mniejsza, poleciał do tyłu, wyrwijąc drzwi z zawiasów i dalej, trzy metry aż do następnego pomieszczenia. Jakby dostał kulą armatnią.

Caitlin stała tam, drżąc. Nigdy nie była porywczą osobą, nigdy nikogo nie uderzyła. Co więcej, nie była zbyt duża, ani silna. Jak zdołała go kopnąć w taki sposób? Skąd miała tyle siły? Nigdy nie widziała nikogo, a tym bardziej dorosłego człowieka, latającego w powietrzu albo roztrzaskującego drzwi. Skąd wzięła taką siłę?

Podeszła i stanęła nad nim.

Znokautowany leżał płasko na plecach. Przez chwile zastanawiała się, czy przypadkiem go nie zabiła. Ale w tym momencie, kiedy wciąż przepelniało ją uczucie wściekłości, tak naprawdę nie obchodziła ją to. Bardziej martwiła się o siebie, o to kim – lub czym – naprawdę jest.

Po tym zdarzeniu nigdy więcej nie widziała Franka. Zerwał z jej mamą następnego dnia i nigdy nie wrócił. Jej mama podejrzewała, że coś się stało pomiędzy nimi, ale nigdy nie powiedział ani słowa, choć winą za rozpad jedyne go szczęśliwego związku w swoim życiu obarczyła Caitlin. I nigdy jej tego nie wybaczyła.

Caitlin znowu wpatrywała się w sufit, serce łomotało jej w piersi. Pomyślała o dzisiejszym ataku wściekłości i zastanawiała się, czy te

dwa epizody miały ze sobą coś wspólnego. Do tej pory zakładała, że Frank był jednorazowym, szalonym incydem, jakimś dziwnym przypływem siły. Ale teraz zaczęła się zastanawiać, czy to nie było przypadkiem coś więcej. Czy miała w sobie jakąś moc? Czy była jakimś odmieńcem?

Kim była?

Rozdział Trzeci

Caitlin biegła ile sił w nogach. Napastnicy byli tuż za nią, gonili ją w dół

alei. Wbiegła w ślepy zaułek, przed nią wyrósł masywny mur, lecz ona nie przestawała biec w jego kierunku. Biegła coraz szybciej, wprost z niemożliwą prędkością, aż mijane budynki zaczęły jej się rozmywać. Czowała wiatr we włosach.

Podbiegła do ściany i jednym susem wskoczyła na 9-metrowy mur. Bez chwili zawahania zeskoczyła z niego już po drugiej stronie, nie tracąc tempa, biegnąc bez opamiętania. Czowała swoją siłę, była niezwyciężona. Biegła jeszcze szybciej, czowała, że może latać.

Spojrzała w dół i zamiast betonu ujrzała trawy – wysokie, kołyszące się na wietrze, zielone trawy. Biegła przez prerię, świeciło słońce, rozpoznała to miejsce – tu mieszkała, kiedy była małą dziewczynką.

Miała przeczucie, że tam gdzieś w oddali, czeka na nią jej ojciec. Gdy tak biegła, czowała, że zbliża się do niego coraz bardziej. Zaczęła dostrzegać zarys jego sylwetki. Stał uśmiechnięty z szeroko rozłożonymi ramionami.

Pragnęła go znowu zobaczyć. Biegła tak szybko, jak tylko mogła. Ale kiedy tylko się do niego zbliżała, on się od niej oddalał.

Nagle zaczęła spadać.

Ogromne, średniowieczne wrota otworzyły się i weszła do kościoła. Szła w kierunku słabo oświetlonego ołtarza, pochodnie paliły się po obu stronach.

Przed amboną klęczał człowiek plecami odwrócony do niej. Kiedy podeszła bliżej, wstał i odwrócił się w jej stronę.

To był ksiądz. Spojrzał na nią, a jego twarz zbladła z przerażenia. Poczowała jak krew krąży w jej żyłach, patrzyła jak zbliżyła się do niego, nie mogąc się powstrzymać. Przerażony uniósł krzyż do twarzy.

Rzuciła się na niego. Czowała, jak rosną jej zęby, długie, zbyt długie. I patrzyła, jak zatapiają się w szyi kapłana.

Krzyczał przeraźliwie, ale jej to nie obchodziło. Poczwała jak jego krew przelewa jej się przez zęby, wpływa do jej żył. Było to najrozkoszniejsze uczucie, jakiego doznała.

Caitlin usiadła na łóżku, dysząc ciężko. Rozejrzała się wokół zdezorientowana. Strumień rażącego światła padał wprost na jej twarz. Wreszcie dotarło do niej, że to był sen. Otarła zimny pot ze skroni i usiadła na krawędzi łóżka.

Panowała cisza. Sądząc po tym, jak jasno było na zewnątrz, Sam i jej mama musieli już wyjść. Spojrzała na zegarek i zobaczyła jak późno już było: 08:15. Już była spóźniona na drugi dzień w szkole.

Wspaniale.

Była zaskoczona, że Sam jej nie obudził. Przez te wszystkie lata, nigdy nie pozwolił by zasnęła – zawsze przychodziła ją obudzić, jeśli wychodził pierwszy.

Nadal musi mieć mi za złe to, co powiedziałam.

Spojrzała na swoją komórkę: wyładowana. Zupełnie zapomniała podłączyć ją do ładowarki. Może to i lepiej. Nie miała ochoty z nikim rozmawiać.

Włożyła na siebie jakieś ubrania z podłogi i przeczeswała włosy palcami.

Normalnie wyszłaby bez jedzenia, ale dzisiejszego ranka czwała się spragniona.

Wyjątkowo spragniona. Podeszła do lodówki i wyjęła z niej karton soku z czerwonego grejpfruta. Odkręciła nakrętkę i zaczęła pić prosto z kartonu. Nie przestała pić, aż do chwili, kiedy poróżniła pojemnik.

Spojrzała na pusty karton. Czy to możliwe, że aż tyle wypiała? Nigdy chyba nie zdarzyło jej się wypić na raz więcej, niż pół szklanki. Sama się zdziwiła, gdy kartonowy pojemnik zgniotła w jednym rękę do rozmiarów małej kulki. Nie mogła zrozumieć, czym była ta nowoodkryta siła, która płynęła w jej żyłach. Było to ekscytujące. I przerażające.

Nadal czwała pragnienie. I głód. Lecz nie był to głód jedzenia. W żyłach czwała, że potrzebuj czegoś więcej, ale nie mogła zrozumieć czego.

*

Świecące pustkami korytarze jej szkoły wyglądały surrealistycznie. W czasie lekcji nie było tam żywej duszy. Spojrzała na zegarek: 08:40. Za 15 minut miała skończyć się lekcja.

Zastanawiała się, czy w ogóle warto na nią iść, ale z drugiej strony, co innego miałyby zrobić z tym dniem. Szła więc długim korytarzem w kierunku swojej sali.

Zatrzymała się przed drzwiami, nasłuchując głosu nauczyciela. Zawahała się.

Nienawidziła przerwać, być w centrum uwagi. Nie bardzo miała jednak inny wybór.

Wzięła głęboki oddech i nacisnął metalową klamkę.

Weszła, a cała klasa zamarła w bezruchu, wlepiając w Caitlin swój wzrok. W

tym także i nauczycielka.

Zapadła cisza.

– Pani – nauczycielka, nie będąc pewna jej imienia, podszedł do biurka i z leżącej na nim kartki, przeczytała – ...Paine. Nowa uczennica. Spóźniłaś się 25 minut.

Nauczycielka spojrzał na Caitlin surowym wzrokiem.

– Co masz nam do powiedzenia?

Caitlin zawahała się.

– Przepraszam?

– To nie wystarczy. Może tam, skąd przyjechałaś, można było wziąć sobie rano wolne, ale na pewno nie tutaj.

– Wziąć – poprawiła ją Caitlin i natychmiast tego pożałowała.

Zapadła niezręczna cisza.

– Słucham? – nauczycielka nie wierzyła własnym uszom.

– Powiedziała Pani, “wziąć”, a mówi się „wziąć”.

– Ale wtopa! – rzucił ktoś z tyłu sali, a cała klasa wybuchła śmiechem.

Twarz nauczycielki przybrał kolor purpurowy.

– Ty smarkulo. Natychmiast zgłoś się do gabinetu dyrektora!

Nauczycielka z wawym krokiem podeszła do drzwi i otworzyła je przed Caitlin. Przesunęła się kawałek, tak że Caitlin mogła poczuć zapach jej tanich perfum.

– Wynocha z mojej klasy!

Normalnie Caitlin bez słowa wyszłaby z klasy, nie mówiąc już o tym, że nigdy nie poprawiłaby nauczyciela. Ale coś się w niej zmieniło, coś, czego do końca nie rozumiała, poczuła, jak rośnie w niej opór. Czowała, że nie musi okazywać szacunku każdemu. I nie czowała już strachu.

Zamiast tego, Caitlin stała tam, ignorując nauczycielkę i powoli rozglądając się po klasie, w poszukiwaniu Jonaha. Klasa była pełna, sprawdziła wzrokiem każdy rząd. Nie było po nim śladu.

– Pani Paine! Nie słyszy pani, co powiedziałam!?

Caitlin rzuciła nauczycielce wyzywające spojrzenie. Potem odwróciła się na pięcie i powoli wyszła z klasy.

Drzwi z hukiem zatrzasnęły się za nią. Usłyszała jeszcze stłumiony zgiewk w sali i głośne „uspokójcie się!” nauczycielki.

Caitlin włóczyła się po pustych korytarzach, nie znając właściwej drogi.

Za plecami usłyszała kroki. W oddali pojawił się strażnik. Zbliżał się do niej.

– Przepustka – warknął na nią jeszcze z dystansu.

– Co? – odpowiedziała.

Zbliżył się.

– Gdzie jest twoja przepustka? Masz trzymać ją w widocznym miejscu przez cały czas.

– Jaka przepustka?

Zatrzymał się i zbadał ją wzrokiem. Był obleśnym, podle wyglądającym mężczyzną, z ogromnym znamieniem na czole.

– Nie możesz poruszać się po korytarzach bez podpisanej przepustki. Wiesz o tym. Gdzie ona jest?

– Nie wiedziałam

Podniósł krótkofalówkę i powiedział:

– Naruszenie przepisów w skrzydle 14. Zabieram ją do aresztu.

– Aresztu? – zapytała Caitlin, zdezorientowana – A co ty jesteś...

Chwycił ją mocno za ramię i pociągnął w dół korytarza.

– Ani słowa więcej! – warknął.

Caitlin nie podobało się, jak jego palce wbijały się w jej ramię, prowadząc ją, jakby była dzieckiem. Czuła jak podnosi się jej ciśnienie. Czuła, jak wzbiera się w niej wściekłość. Nie wiedziała jak i dlaczego, ale wiedziała, do czego to prowadzi. I wiedziała, że za dosłownie chwile, nie będzie w stanie kontrolować swojego gniewu i swojej siły.

Musiała to zatrzymać, zanim będzie za późno. Skupiła całą swoją energię na opanowaniu tego gniewu. Ale tak długo, jak jego palce zaciskały się na jej ramieniu, to po prostu było niemożliwe. Szybko wyrwała rękę, zanim pełna moc przejęła nad nią kontrolę i zobaczyła jak strażnik leci na drugą stronę korytarza.

Patrzył na nią zszokowany, że dziewczyna jej gabarytów może rzucić nim kilka metrów w poprzek korytarza zaledwie lekkim ruchem ramienia. Zaniemówił

z oburzenia i strachu. Widziała, jak waha się, czy zaatakować czy lepiej się wycofać. Opuścił rękę na pasek, na którym wisiała duża puszka gazu pieprzowego.

– Jeszcze raz podnieś na mnie rękę, młoda damo – powiedział wzburzony – a potraktuję cię gazem.

– To ty mnie nie dotykaj – odpysknęła. Sama nie wierzyła, że to mówi. Nawet jej głos się zmienił. Ten był głębszy, bardziej pierwotny.

Powoli zdjął rękę ze sprayu. Uległ.

– Idź przede mną – powiedział – Wzdłuż korytarza i po tych schodach.

*

Strażnik zostawił ją w zatłoczonym wejściu do gabinetu dyrektora. W tej samej chwili odezwało się jego radio i już był w drodze do kolejnego wezwania.

Zanim jednak odszedł, odwrócił się do niej i rzekł.

– Żeby Ci tu więcej nie widział – warknął.

Caitlin odwróciła się i zobaczyła piętnascioro dzieciaków w różnym wieku, siedzących, stojących, wszyscy czekający na dyrektora. Sami nieudacznicy.

Wchodzili po kolei, jeden uczeń po drugim. Na straży stał niemrawy ochroniarz, kiwał się bezwiednie.

Caitlin nie miała ochoty czekać tam pół dnia, a już na pewno nie miała ochoty na spotkanie z Dyrektorem. Jasne, nie powinna spóźniać się do szkoły, ale ta kara była niewspółmierna do jej przewinienia. Miała tego dość.

Drzwi na korytarz otworzyły się i do środka wszedł strażnik ciągnąc za sobą trzech przepychających się chłopaków. W małej, przepełnionej już poczekalni zapanował chaos. Rozległ się dźwięk dzwonka i szerokie korytarze zaczęły się wypełniać ludźmi. Teraz chaos panował i wewnątrz i na zewnątrz poczekalni.

Caitlin uznała to za swoją jedyną szansę. Gdy drzwi otworzyły się ponownie, zanurkowała obok innego dziecka i wymknęła się na korytarz.

Spojrzała szybko przez ramię, ale chyba nikt jej nie zauważył. Szybko przeciskała na drugi koniec korytarza przez gęsty tłum dzieci, a potem dalej za róg. Sprawdziła ponownie: nadal nikt za nią nie szedł.

Była bezpieczna. Nawet jeśli ochroniarze zauważyli jej zniknięcie, w co szczerze wątpiła, była już zbyt daleko, żeby ją złapać. Energicznym krokiem przemierzała korytarz w stronę stołówki, chcąc jak najszybciej znaleźć się z dala od gabinetu. Musiała znaleźć Janaha. Musiała się upewnić, że wszystko z nim w porządku.

Stołówka była przepełniona ludźmi. Szła pomiędzy stolikami, szukając go wzrokiem. Ani śladu. Przeszła jeszcze raz, wolniej, dokładnie przyglądając się twarzom przy każdym stoliku. Nadal nic.

Żałowała, że wtedy nie wróciła po niego, nie sprawdziła jak poważne jest ranny, nie wezwała karetki. Zastanawiała się jak dotkliwie go pobili. Może był

szpitalu. Może nie wróci już do szkoły.

Przygnębiona złapała swoją tacę i znalazła stolik z bezpośrednim widokiem na drzwi do stołówki. Usiadła tam i ledwo coś jedząc, wpatrywała się z nadzieją w każdego wchodzącego dzieciaka.

On jednak nie przyszedł.

Dzwonek zadzwoniła, a stołówka na opustoszała. Ona wciąż tam siedziała.

Pustka.

*

Wybrzmiał ostatni dzwonek tego dnia i Caitlin stanęła przed swoją szafką.

Spojrzała na kartkę z wydrukowanym szyfrem, wprowadziła go i pociągnęła za drzwiczki. Nie zadziało. Spróbowała jeszcze raz tą samą kombinację cyfr. Tym razem zamek ustąpił.

Wpatrywała się w puste wnętrze metalowej szafki. Na wewnętrznej stronie drzwi wymalowane było graffiti. Poza tym szafka była szara i pusta.

Przygnębiające. Wspomnieniami wróciła do swoich poprzednich szkół, o tym, jak zawsze śpieszyła by znaleźć swoją szafkę, otworzyć ją, zapamiętać kombinację do zamka, przyozdobić drzwi zdjęciami chłopców z magazynów. To był jej sposób na zdobycie odrobiny kontroli, poczucie się jak w domu, znalezienie swojego własnego miejsca w szkole, stworzenie czegoś wyjątkowego.

Ale gdzieś po drodze, kilka szkół temu, zaczęła tracić ten entuzjizm. Zaczęła się zastanawiać, po co zadawać sobie cały ten trud, jeśli kolejna przeprowadzka to tylko kwestia czasu. Dekorowanie szafki szło jej więc coraz oporniej.

Tym razem postanowiła to sobie zupełnie odpuścić. Zamknęła drzwi z hukiem.

– Caitlin?

Podskoczyła.

Pół metra od niej stał Jonah.

Na nosie miał duże okulary przeciwsłoneczne. Widziała, że skóra pod nimi była opuchnięta.

Zupełnie go się tu nie spodziewała. Była bardzo podekscytowana. Tak podekscytowana, że nawet ją to zdziwiło. Stado motyli szalało w podbrzuszu.

Poczuła suchość w gardle.

Chciała zadać mu tak wiele pytań: czy cało wrócił do domu, czy widział

potem tych zbirów, czy widział tam ją Ale jakoś nie mogła wydusić z siebie słowa.

– Hej – tylko tyle udało jej się wykrztusić.

Stał tam wpatrując się w nią. Chyba nie wiedział jak zacząć.

– Brakowało mi Ciebie dziś na zajęciach – powiedziała i natychmiast pożałował tych słów.

*Głupia. Trzeba było powiedzieć: “Nie widziałem cię w klasie.”
“Brakowało”*

brzmi desperacko.

– Spóźniłem się – powiedział.

– Ja też – odparła.

Kręcił się, jakby czuł się nieswojo. Zauważyła, że nie miał przy sobie altówki. Więc to stało się naprawdę. To nie był tylko zły sen.

– Wszystko gra? – zapytała.

Wskazała na jego okulary.

Podniósł rękę i powoli zsunął je z nosa.

Jego twarz była fioletowa i spuchnięta. Skaleczenia i bandaże pokrywały jego czoło i okolice oka.

– Bywało lepiej – odparł zakłopotany.

– O mój Boże – ten widok ją przeraził. Niby powinna czuć się lepiej, bo mu pomogła, oszczędziła więcej cierpienia. Zamiast tego czuła się źle, że nie zjawiała się tam wcześniej, że nie wróci po niego. Ale po tym, jak *to* się wydarzyło, prawie nic nie pamiętała. Nie mogła sobie nawet przypomnieć, jak dostała się do domu

– Bardzo mi przykro.

– Słyszałaś jak to się stało? – zapytał.

Spojrzał na nią uważnie swoimi zielonymi oczami, a ona poczuła, jakby ją sprawdzał. Jakby chciał, żeby się przyznała, że tam była.

Widział ją? Ale nie mógł. Był nieprzytomny. A może jednak? Mógł zobaczyć, co stało się potem? Powinna przyznać, że była tam?

Z jednej strony bardzo chciała mu powiedzieć, że mu pomogła, żeby zdobyć jego podziw i wdzięczność. Z drugiej strony, nie było opcji, żeby mu wyjaśnić co zrobiła, nie wychodząc na kłamczuchę albo jakiegoś dziwaka.

Nie. Nie możesz mu powiedzieć. Nie możesz.

– Nie – skłamała – Właściwie nie znam tu nikogo, pamiętasz?

Zawahał się.

– Napadli mnie – powiedział – Kiedy wracałem ze szkoły.

– Tak mi przykro – powtórzyła. Zabrzmiała jak idiotka, powtarzając to samo głupie zdanie, ale nie chciała zdradzić zbyt wiele.

– Mój tata się wściekł – kontynuował – Zniszczyli moją altówkę.

– To okropne – powiedziała – Kupią Ci nową?

Jonah przecząco pokręcił głową.

– Powiedział, że nie. Nie stać go na to. Powiedział też, że powinienem być ostrożniejszy.

Troska malowała się na twarzy Caitlin.

– Wydawało mi się, że to twój bilet do lepszego świata?

Wzruszył ramionami.

– Co zrobić? – odparł zrezygnowany.

– Nie wiem.

– Może policja ją znajdzie – powiedziała. Dobrze jednak wiedziała, że instrument został zniszczony. Chciała tylko utwierdzić go w przekonaniu, że o niczym nie wiedziała.

On spojrzał na nią uważnie, jakby chciał ocenić, czy ściemnia.

Wreszcie powiedział:

– Zniszczyli ją – zamyślił się – Niektórzy ludzie czują chyba potrzebę niszczenia rzeczy innych osób.

– O mój Boże – powiedziała, starając się niczego nie wyjawić – to okropne.

– Tata jest wściekły, że się nie broniłem... Ale ja taki nie jestem.

– A to łajzy. Może policja ich złapie – powiedziała.

Mały uśmiezek rozjaśnił twarz Jonaha.

– Właściwie to już ich złapali.

– Jak to? – zapytała, starając się brzmieć przekonująco.

– Znalazłem tych gości w zaułku. Byli w jeszcze gorszym stanie niż ja. Nawet się nie ruszali – uśmiechnął się jeszcze szerzej – Ktoś ich dorwał. Może Bóg jednak istnieje.

– Jakie to dziwne – udała zaskoczenie.

– Może mam anioła stróża – powiedział, przyglądając się jej.

– Być może – odpowiedziała.

Patrzył na nią przez długi czas, tak jakby czekał na to, żeby się zdradziła, choć na jakąś wskazówkę, znak. Nic takiego nie zrobiła.

– A w tym wszystkim jest jeszcze coś dziwniejszego – powiedział w końcu.

Schylił się, wyciągnął coś z plecaka i podał jej.

– Znalazłem to.

Spojrzała zszokowana. To był jej dziennik.

Wzięła go do rąk i poczuła, jak się rumieni, zarówno ze szczęścia, że ma go z powrotem i przerażenia, że teraz miał dowód, że tam była. Musiał wiedzieć, że kłamała.

– Jest podpisany twoim imieniem. Należy do ciebie, prawda?

Skinęła głową, jednocześnie wertując dziennik. Nic nie zginęło. Jak mogła o nim zapomnieć.

– Było kilka luźnych stron. Zebrałem je wszystkie i włożyłem z powrotem.

Mam nadzieję, że są wszystkie – powiedział.

– Tak, są – powiedziała cicho, wzruszona i zakłopotana.

– Szedłem za porozrzucanymi stronami i... nie uwierzysz... dotarłem za nimi do tego zaułka.

Ona nadal patrzyła w pamiętnik, unikając jego wzroku.

– Jak myślisz, jak on się tam znalazł? – zapytał.

Spojrzała mu w oczy, próbując zachować powagę.

– Zgubiłam go gdzieś, wracając wczoraj ze szkoły. Może go znaleźli.

Przyglądał się jej uważnie.

Wreszcie powiedział:

– Być może.

Stali w milczeniu.

– Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to – kontynuował – że, zanim straciłem przytomność, mógłbym przysiąc, że widziałem tam ciebie, stojącą nade mną, krzyczącą na tych facetów, aby zostawili mnie w spokoju... Niesamowite, prawda?

Przyglądał się jej uważnie, i ona spojrzała mu prosto w oczy.

– Musiałabym być zupełnie szalona, żeby zrobić coś takiego – powiedziała.

Wbrew sobie, mały uśmiech zaczął w kąciku ust.

Zatrzymał się, a następnie uśmiechnął się szeroko.

– Tak – odpowiedział – Musiałabyś.

Rozdział Czwarty

Caitlin była w siódmym niebie, gdy wracała do domu ze szkoły, ściskając w rękach swój pamiętnik. Tak szczęśliwa nie była od niepamiętnych czasów. W

głowie wciąż słyszała słowa Jonaha.

– Dziś wieczorem grają koncert. W Carnegie Hall. Dostałem dwa bilety. To najgorsze miejsca na sali, ale wokalista podobno jest wspaniały.

– Zapraszasz mnie na randkę? – powiedziała uśmiechając się.

Odpowiedział uśmiechem.

– Jeśli nie masz nic przeciwko pokazaniu się z taką górą siniaków – powiedział z uśmiechem – W końcu dziś jest piątek.

Drogę do domu pokonała w podskokach, nie mogąc opanować podekscytowania. Nie miała pojęcia o muzyce klasycznej – tak naprawdę nigdy wcześniej jej nie słuchała – ale to nieważne. Poszłaby z nim wszędzie.

Carnegie Hall. Powiedział by ubrać się elegancko. Co tu na siebie założyć?

Zerknęła na zegarek. Nie zostało wiele czasu by zmienić ubranie, jeśli miała zdążyć do kawiarni, w której umówili się przed koncertem. Przyspieszyła kroku.

Po chwili była pod domem i nawet odrapany budynek nie zdawał się tak przygnębiający jak zwykle. Wbiegła schodami na piąte piętro, a wchodząc do domu nawet nie czuła zmęczenia.

U wejścia powitał ją wrzask matki.

– Ty cholerna dziwko!

Caitlin ledwo zdążyła uchylić się przed książką, którą mama rzuciła w jej stronę. Przeleciała bokiem i uderzyła w ścianę.

Zanim Caitlin zdołała cokolwiek powiedzieć mama rzuciła się z paznokciami do jej twarzy.

Caitlin udało się złapać ją za nadgarstki w ostatnim momencie. Zaczęły się szarpać na lewo i prawo.

Caitlin czuła płynącą w swych żyłach moc, czuła, że mogłaby z łatwością rzucić mamą o przeciwległą ścianę pokoju. Lecz zmusiła się by jedynie lekko ją odepchnąć, tak by wylądowała na kanapie.

Jej mama nagle wybuchła gorzkim płaczem. Siedziała na kanapie, łkając.

– To wszystko *twoja* wina! – wrzasnęła przez łzy.

– O co ci znowu chodzi? – odkrzyknęła Caitlin, zupełnie wyprowadzona z równowagi. Nie miała pojęcia co się dzieje. Takie zachowanie było dosyć wariackie, nawet jak na jej matkę.

– *Sam*.

W wyciągniętej dłoni mamy tkwiła kartka.

Caitlin wzięła ją, jej serce waliło jak młot, zmrożone nagłym przerażeniem.

To nie mogły być dobre wieści.

– On uciekł!

Caitlin przemknęła wzrokiem po napisanym ręcznie liściku. Właściwie nie docierała do niej całość, tylko fragmenty – *uciekam ... nie chcę tu mieszkać ... z powrotem z przyjaciółmi ... nie szukaj mnie*.

Jej ręce drżały. Sam wreszcie to zrobił. Naprawdę uciekł. I nawet na nią nie zaczekał. Nawet się nie pożegnał.

– To wszystko *twoja* wina! – wrzasnęła jej mama.

Jakaś część Caitlin nie była w stanie w to uwierzyć. Przebiegła przez mieszkanie, by otworzyć drzwi do pokoju Sama. Była prawie pewna, że go tam zastanie.

Pokój jednak był pusty. Jakby nietknięty. Nie zostawił po sobie śladu. Sam nigdy nie utrzymywał pokoju w takiej czystości. Tak więc to prawda. Naprawdę uciekł.

Caitlin poczuła pieczenie w gardle, jakby zbierało się jej na wymioty.

Naprawdę czuła, jakby jej mama wreszcie miała rację, jakby to *naprawdę* była jej wina. Sam rozmawiał z nią o tym. A ona powiedziała „A to idź sobie”.

Idź sobie. Dlaczego powiedziała takie głupstwo? Chciała przeprosić, cofnąć te słowa następnego ranka, ale Sam już wyszedł, gdy wstała. Miała z nim porozmawiać, kiedy przyjdzie do domu. Ale teraz było już za późno.

Wiedziała dokąd uciekł. Możliwość była tylko jedna: ostatnie miasto, w którym mieszkali. Poradzi sobie. I to pewnie lepiej niż tutaj. Tam miał przyjaciół.

Im więcej o tym myślała, tym mniej się martwiła. Tak naprawdę cieszyła się. W

końcu wydostał się z tego piekła. A ona wiedziała jak go odnaleźć.

Ale z tym będzie musiała poradzić sobie później. Zerknęła na zegarek i zdała sobie sprawę z tego, że jest spóźniona. Wbiegła do swojego pokoju, szybko złapała swoje najładniejsze ubranie i buty i wrzuciła do torby. Musiała zrezygnować z makijażu, na to nie było już czasu.

– Dlaczego musisz niszczyć wszystko, czego się dotkniesz?! – wrzasnęła mama za jej plecami – Nie powinnam była cię adoptować!

Caitlin popatrzyła na nią w zdumieniu.

– Co ty mówisz?

– To prawda – ciągnęła jej mama – Zaopiekowałam się tobą. Nie jesteś moim dzieckiem. Nigdy nie byłaś. Byłaś *jego*. Nie jesteś moją prawdziwą córką.

Słyszysz?! Byłoby mi wstyd za taką córkę!

Caitlin doskonale widziała jad w jej ciemnych oczach. Nigdy wcześniej nie zdarzyło się jej widzieć matki w takiej furii. Oczami ciskała gromy.

– Dlaczego musiałaś odebrać mi jedyną prawdziwie dobrą rzecz w moim życiu?! – krzyknęła.

Tym razem mama rzuciła się oboma rękami do jej gardła. Zanim Caitlin zdążyła zareagować, zaczęła ją dusić. Mocno.

Caitlin starała się zaczerpnąć powietrza. Uścisk matki był stalowy. Naprawdę chciała zabić.

Furia załapała Caitlin, tym razem nie udało się jej powstrzymać. Czula znajome ukłucia żaru, najpierw w palcach u stóp, rozlewające się dalej na jej ramiona i ręce. Pozwoliła furii rozlać się po całym ciele. Mięśnie jej szyi nabrzmiały, osłabiając chwyt mamy.

Jej mama musiała zauważyć tą przemianę, bo nagle wydała się przestraszona.

Caitlin uniosła głowę i ryknęła jak dzikie zwierze. Przemieniła się w coś przerażającego.

Mama zwolniła swój chwyt i cofnęła się o krok, wpatrując się w dziewczynę z szeroko otwartymi ustami.

Caitlin ruchem jednej ręki odepchnęła matkę, a ta poleciała w tył z ogromną siłą, przebijając z trzaskiem ścianę i lądując w pokoju obok. Uderzyła o przeciwległą ścianę i upadła na ziemię, nieprzytomna.

Caitlin odetchnęła głęboko, próbując się uspokoić. Rozejrzała się wkoło, zastanawiając się, co jeszcze mogłaby wziąć ze sobą. Napewno o czymś zapomniała, jednak myśli miała zbyt rozbiegane. Złapała tylko torbę z ubraniami i wyszła z pokoju, przestępując przez potrzaskaną ścianę, obok leżącej matki.

Jej mama, jęcząc, powoli zaczęła się podnosić.

Caitlin minęła ją i wyszła z mieszkania.

Obiecała sobie, że to był ostatni raz, kiedy widzi ją na oczy.

Rozdział Piąty

W chłodny marcowy wieczór, Caitlin szła szybkim krokiem boczną uliczką, wciąż rozdygotana po spotkaniu z matką. Chłodne powietrze przyjemnie szczypało ją w twarz. Koilo nerwy. Odetchnęła głęboko i poczuła się wolna. Nigdy więcej nie będzie musiała wracać do tego mieszkania, nigdy więcej pokonywać tej wstrętnej drogi. Nigdy więcej oglądać tej okolicy. Jej noga nigdy nie postanie w tej szkole. Nie miała pojęcia dokąd pójdzie, ale wiedziała, że będzie to daleko stąd.

Caitlin dotarła do skrzyżowania i rozejrzała się w poszukiwaniu wolnej taksówki. Po chwili oczekiwania doszła jednak do wniosku, że żadnej nie uda jej się złapać. Metro było jedynym wyjściem.

Caitlin ruszyła w stronę stacji przy 135 Ulicy. Nigdy dotąd nie jechała nowojorskim metrem. Nie była pewna, które linie jej pasują, gdzie powinna wysiąść, a na dodatek moment był fatalny na eksperymentowanie. Bała się o to, co może ją spotkać na stacji w ten zimny, marcowy wieczór – szczególnie w tej okolicy.

Zeszła upstrzonymi graffiti schodami i podeszła do kiosku z biletami.

Szczęśliwie, ktoś był w środku.

– Muszę dojechać do Columbus Circle – powiedziała Caitlin.

Otyła bileterka nawet nie spojrzała na nią zza pleksiglasu.

– Przepraszam – powiedziała Caitlin – ale muszę–

– No mówię, że z tamtego peronu! – burknęła kobieta.

– Nieprawda – odpowiedziała Caitlin – nie powiedziała pani ani słowa!

Bileterka znowu zupełnie ją zignorowała.

– Ile płacę?

– Dwa pięćdziesiąt – odburknęła.

Caitlin sięgnęła głęboko do kieszeni i wygrzebała trzy zgniecione banknoty jednodolarowe. Wsunęła je w szczelinę pod szybą.

Bileterka, wciąż ignorując dziewczynę, przełożyła pod szybą bilet magnetyczny.

Caitlin przesunęła kartą po kasowniku i weszła na peron.

Był słabo oświetlony i prawie zupełnie pusty. Dwójka bezdomnych owinięta w koce zajmowała ławki. Jeden spał, ale drugi podniósł głowę, gdy przechodziła obok. Zaczął mamrotać coś pod nosem. Caitlin przyspieszyła kroku.

Podeszła do skraju peronu i wychyliła się, by zobaczyć, czy nadjeżdża pociąg.

Nic.

No dalej. Dawaj.

Jeszcze raz zerknęła na zegarek. To już pięć minut spóźnienia. Zastanawiała się, ile jeszcze zajmie jej droga. Zastanawiała się czy Jonahowi znudzi się czekanie. Zrozumiała by.

Kątem oka zauważyła jakiś ruch. Odwróciła się. Nic.

Przyglądając się bliżej spostrzegła jakby cień, skradający się wzdłuż białej ściany wyłożonej kaflami z linoleum, znikający przy torowisku. Poczula, jakby ktoś ją obserwował.

Lecz gdy rozejrzała się ponownie, niczego nie dostrzegła. .

Chyba mam zwiady.

Caitlin podeszła do dużej mapy metra. Ta była podrapana, podarta i wymazana graffiti, ale udało jej się zobaczyć oznaczenia linii.

Przynajmniej była w dobrym miejscu. Powinna dojechać tędy do Columbus Circle. Poczła się trochę lepiej.

– Zgubiłaś się, malutka?

Caitlin obróciła się i zobaczyła stojącego nad sobą dużego, czarnego mężczyznę. Był nieogolony, a gdy krzywił się w uśmiechu, zobaczyła brakujące zęby. Przysunął się zbyt blisko, czuła jak paskudnie cuchnie mu z ust. Pijacki oddech.

Ominęła go i odeszła kilka kroków.

– Ej, suko, do ciebie mówię!

Caitlin szła dalej.

Mężczyzna zdawał się być naćpany, potykał się i zataczał, idąc w jej stronę.

Ale Caitlin szła o wiele szybciej, a peron był długi, więc dystans pomiędzy nimi wciąż był spory. Naprawdę chciała uniknąć kolejnej scysji. *Nie tutaj. Nie teraz.*

Był coraz bliżej. Pomyślała ile ma czasu, zanim zostanie zmuszona do kolejnej szarpaniny.. *Boże drogi, wydostań mnie stąd.*

I wtedy ogłuszający hałas nadjeżdżającego pociągu wypełnił stację. *Bogu dzięki.*

Wsiadła do wagonu i z zadowoleniem zobaczyła, że drzwi zamknęły się mężczyźnie przed nosem. Sklął je pijacko i uderzył w metalową okładzinę.

Pociąg ruszył, po chwili mężczyzna zamienił się w rozmyte mignięcie za szybą. Caitlin opuszczała tą okolicę. Przed sobą miałanowe życie.

*

Caitlin wysiadła na Columbus Circle i ruszyła szybkim krokiem. Zerknęła znów na zegarek. Była spóźniona 20 minut. Przełknęła ślinę.

Proszę, zaczekaj na mnie. Nie idź jeszcze. Proszę.

Zdołała przejść tylko kawałek, gdy poczuła ukłucie w brzuchu. Zatrzymała się, zaskoczona przenikliwym bólem.

Objęła ramionami brzuch i pochyliła się z bólu, niezdolna ruszyć się dalej.

Pomyślała, że ludzie pewnie się gapią, ale zbyt ją bolało, by się tym przejmowała. Nigdy wcześniej nie czuła nic takiego. Z trudem

zaczerpnęła powietrza.

Ludzie mijali ją szybko z obu stron, jednak nikt nie przystanął, by sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku.

Po chwili wreszcie była w stanie wyprostować się powoli. Ból powoli mijał.

Odetchnęła głęboko, zastanawiając się, co mogło być przyczyną.

Ruszyła dalej w stronę kawiarni. Czuli się kompletnie skołowana. I było coś jeszcze... Głód. I to nie zwykły głód, a głębokie, nienasycone pragnienie. Gdy minęła ją kobieta z psem, Caitlin odwróciła się za nią, z pożądaniem wgapiając się w zwierzę. Wzrokiem odprowadzała zwierzaka, nie mogąc oderwać wzroku od jego szyi. Zdumiona stwierdziła, że może dostrzec każdy szczegół żył na psiej skórze, widzi płynącą nimi krew. Obserwowała pulsujące naczynia i czuła tępe mrowienie swoich zębów. Pragnęła krwi tego psa.

Czując na sobie wzrok, zwierzak obrócił łeb i z przerażeniem w oczach spojrzał na Caitlin. Zawarczał tylko i pobiegł dalej. Właścicielka psa obróciła się i spojrzała na Caitlin nic nie rozumiejąc.

Caitlin szła dalej. Nie miała pojęcia co się z nią dzieje. Kochała psy. Nigdy nie skrzywdziłaby zwierzęcia, nawet muchy. Co ją opętało?

Skurcze głodu zniknęły równie szybko, jak się pojawiły, a Caitlin poczuła, że znów wszystko jest w porządku. Gdy skręciła za róg, zobaczyła kawiarnię i jeszcze przyśpieszyła kroku. Wzięła głęboki oddech i poczuła, jakby wszystko wracało do normy. Sprawdziła zegarek. 30 minut spóźnienia. Modliła się, by dalej tam czekał.

Otworzyła drzwi. Serce jej waliło, tym razem nie z bólu, a strachu, że nie zastanie Jonaha.

Szybko rozejrzała się po wnętrzu. Weszła w pośpiechu, zadyszana i od razu poczuła się nie na miejscu. Czuli, że wszystkie oczy wpatrują się w nią. Spojrzała na rząd stolików po lewej i po prawej stronie. Ani śladu Jonaha. Serce jej zamarło. Musiał już pójść.

– Caitlin?

Obróciła się na pięcie. Za nią, uśmiechając się szeroko, stał Jonah. Poczuła, że jej serce wypełnia się szczęściem.

– Bardzo cię przepraszam – powiedziała pośpiesznie. – Zwykle się nie spóźniam. Ja tylko – to znaczy-

– W porządku – powiedział, kładąc rękę na jej ramieniu. – Nie przejmuj się.

Cieszę się, że nic ci się nie stało – dodał.

Spojrzała w jego radosne, zielone oczy, okolone wciąż zbitą i spuchniętą twarzą i po raz pierwszy tego dnia poczuła się szczęśliwa. Czowała, że jeszcze wszystko się ułoży.

– Tylko nie mamy zbyt wiele czasu, jeśli chcemy zdążyć – powiedział –

Zostało jakieś pięć minut. Lepiej przełożmy picie kawy na inną okazję.

– Jasne – powiedziała – Bardzo się cieszę, że całkiem nie przegapiliśmy koncertu. Taka ze mnie-Caitlin nagle spojrzała w dół i stwierdziła z przerażeniem, że nadal ma na sobie swoje codzienne ubranie. Wciąż ścisnęła torbę, w której przyniosła ładne ubranie i buty. Chciała przyjechać do kawiarni chwilę wcześniej i dyskretnie przebrać się w łazience, by być gotowa na spotkanie z Jonahem. A teraz stała tu, przed nim, ubrana jak ostatni wycieruch, ściskając swoją torbę na ubrania. Aż poczerwieniały jej policzki. Nie wiedziała jak się wytłumaczyć.

– Jonah, tak mi przykro, że jestem źle ubrana – powiedziała – Chciałam się przebrać przed przyjściem, ale... Mamy jeszcze pięć minut, prawda?

Spojrzał na swój zegarek, cień obawy przebiegł jego twarz.

– Tak, ale–

– Zaraz wracam – powiedziała i nie czekając na odpowiedź, pobiegła w stronę łazienki.

Caitlin wpadła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Rozerwała torbę i wyszarpnęła z niej swoje ubranie, wciąż ładne, choć mocno pomięte. Zerwała z siebie zwykłe ciuchy i tenisówki, by szybko założyć czarną, aksamitną spódniczkę i białą, jedwabną bluzkę. Założyła też swoje kolczyki z imitacjami brylantów.

Może i tandetne, ale wyglądały dobrze. Na koniec założyła czarne buty na wysokim obcasie.

Zerknęła w lustro. Była trochę wygnieciona, ale nie tak bardzo jak jej się zdawało. W lekko rozchylonym dekolcie bluzki widać było mały, srebrny krzyżyk, który wciąż nosiła na szyi. Nie miała czasu na makijaż, ale przynajmniej była porządnie ubrana. Szybko zwilżyła ręce pod kranem i poprawiła fryzurę, umieszczając kilka

niesfornych kosmyków na swoich miejscach. Ostatnim elementem ubioru była czarna, skórzana torebka.

Już miała wybiec z łazienki, gdy zauważyła kupkę swych starych ciuchów.

Zawahała się przez chwilę. Naprawdę nie chciała targać ich ze sobą przez resztę wieczoru. Tak właściwie to nie chciała już nigdy więcej zakładać tych łachów.

Podniosła je z podłogi, zwinęła w kulkę i z wielkim zadowoleniem wepchnęła do kosza na śmieci, stojącego w kącie. W tej chwili miała na sobie jedyne własne ubranie.

Czuła się świetnie, wkraczając w nowe życie tak dobrze ubrana.

Jonah czekał na nią przed wejściem do kawiarni, przytupując nerwowo i zerkając na zegarek. Gdy otworzyła drzwi obrócił się i gdy zobaczył ją tak ubraną, zamarł. Wpatrywał się w nią, jakby odebrało mu mowę.

Jeszcze żaden facet nie patrzył na Caitlin w ten sposób. Nigdy nie myślała, że może się komuś podobać. Jednak sposób, w jaki Jonah patrzył na nią, sprawił, że poczuła się... wyjątkowa. Po raz pierwszy poczuła się kobietą.

– Wyglądasz... przepięknie – powiedział cicho.

– Dzięki – odpowiedziała. Prawie wymsknęło się jej – *ty też* – na szczęście w porę ugryzła się w język.

Przepełniona nową dla niej pewnością siebie podeszła do niego, wzięła go pod rękę i delikatnie pokierowała w stronę Carnegie Hall. Szedł obok niej szybkim krokiem, położywszy drugą dłoń na jej dłoni.

Wspaniale było iść pod rękę z chłopakiem. Pomimo wszystkiego, co zdarzyło się dzisiejszego i wczorajszego dnia, Caitlin poczuła się jak w siódmym niebie.

Rozdział Szósty

Carnegie Hall było wypełnione po brzegi. Jonah szedł przodem, gdy przedzierali się przez gęsty tłum w kierunku kas, by odebrać zarezerwowane bilety. Nie było łatwo. Ludzie wyglądali na bogatych i wymagających, wszyscy zdawali się być spóźnieni. Caitlin nigdy nie widziała tylu dobrze ubranych osób w jednym miejscu. Większość mężczyzn nosiła smokingi, kobiety długie suknie wieczorowe. Zewsząd błyskały diamenty. Sytuacja była bardzo ekscytująca.

Jonah odebrał bilety i poprowadził ją schodami w górę. Podał je bileterowi, który oddał kawałek każdego i zwrócił im resztę.

– Mogę zatrzymać jeden? – zapytała Caitlin, gdy Jonah chował bilety do kieszeni.

– Oczywiście – powiedział, podając jej bilet.

Obróciła bilet w palcach.

– Lubię zbierać takie rzeczy – dodała rumieniąc się – To chyba trochę sentymentalne.

Jonah uśmiechnął się, gdy włożyła kartonik do przedniej kieszeni.

Skierowano ich w głąb luksusowego korytarza, szli po grubym, czerwonym dywanie. Na ścianach wisiały w rzędzie zdjęcia artystów i wokalistów.

– A właściwie jak zdobyłeś te bilety? – spytała Caitlin.

– Od mojego nauczyciela gry – odpowiedział – Ma karnet na cały sezon. Nie mógł dziś przyjść, więc oddał je mnie. Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci, że sam ich nie kupiłem – dodał.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Tak powinno być na randce – wyjaśnił.

– Zupełnie nie przeszkadza – powiedziała – Zabrałeś mnie tutaj. Tylko to się liczy. Jest wspaniale.

Kolejny pracownik skierował Caitlin i Jonaha w kierunku małych drzwi, za którymi znajdowała się sala koncertowa. Byli wysoko, jakieś 20 metrów ponad dolnymi rzędami, na ich małym balkonie było tylko kilkanaście miejsc. Ich miejsca znajdowały się przy samym brzegu, zaraz przy barierkach.

Jonah otworzył dla niej siedzenie obite grubym pluszem. Spojrzała w dół na ten cały tłum i na wszystkich artystów. To najbardziej eleganckie miejsce, w jakim kiedykolwiek była. Spojrzała w dół na morze siwych włosów i poczuła, że jest conajmniej o 50 lat za młoda by tu siedzieć. Mimo to wszystko było niezwykle ekscytujące.

Jonah usiadł, a ich łokcie zetknęły się, poczuła przyjemne ciepło jego ciała tuż obok. Gdy siedzieli, czekając, chciała wziąć go za rękę, ale nie odważyła się.

Więc tylko siedziała, mając cichą nadzieję, że to on złapie ją za rękę. Nic takiego się nie stało. Być może to trochę za wcześnie. A może on też był nieśmiały.

Zamiast tego wychylił się przez barierkę i wskazał przed siebie.

– Najlepsi skrzypkowie siedzą najbliżej krawędzi sceny – powiedział, wskazując miejsce – Tamta pani jest jedną z najlepszych skrzypaczek na świecie.

– Grałeś tu kiedykolwiek? – zapytała.

Jonah roześmiał się.

– Co ty – powiedział – Może i ta sala jest tylko kilkanaście ulic od naszej dzielnicy, ale równie dobrze mogłaby być na innej planecie, jeśli chodzi o talent artystów. Może któregoś dnia. – dodał.

Spojrzała w dół na scenę, na setkę muzyków strojących swoje instrumenty.

Wszyscy byli ubrani bardzo elegancko i wydawali się bardzo poważni, bardzo skupieni. Dalej pod ścianą stał spory chór.

Nagle młody mężczyzna, może dwudziestoletni, o długich, rozpuszczonych, czarnych włosach, ubrany w smoking wkroczył dumnie na scenę. Przeciął szybko rzędy muzyków, kierując się w stronę środka sceny. W tym momencie widownia poderwała się na nogi z oklaskami.

– Kto to taki? – spytała Caitlin.

Artysta dotarł do środka sceny i zaczął kłaniać się kilkakrotnie z szerokim uśmiechem na twarzy. Nawet z takiej odległości Catlin dobrze widziała, że był

zaskakująco przystojny.

– Siergiej Rakow – odpowiedział Jonah – Jest jednym z najlepszych wokalistów świata.

– Wydaje się strasznie młody.

– Tu nie idzie o wiek, tylko o talent – odpowiedział Jonah – Ludzie dzielą się na utalentowanych i *utalentowanych*. Z *takim* talentem trzeba się urodzić – i *bardzo* ciężko nad nim pracować. Nie cztery godziny ćwiczeń dziennie, a osiem godzin. Codziennie. Robiłbym tak samo, ale mój tata nigdy na to nie pozwoli.

– Czemu?

– Nie chce, by altówka była jedyną rzeczą w moim życiu.

W jego głosie wyraźnie słyhać było rozczarowanie.

Wreszcie oklaski zaczęły cichnąć.

– Dziś wieczór grają Dziewiątą Symfonię Beethovena – powiedział Jonah –

To pewnie jego najslawniejsza symfonia. Słyszałaś ją kiedyś?

Caitlin potrząsnęła głową, czuła się głupio. Miała muzykę klasyczną na lekcjach w dziewiątej klasie, ale zupełnie na nich nie uważała. Nigdy ją to nie wciągnęło, zresztą dopiero co się przeprowadzili, więc była strasznie rozkojarzona. Teraz żałowała, że ją to ominęło.

– Do jej odegrania potrzeba wielkiej orkiestry – powiedział – i wielkiego chóru. Pewnie potrzeba na scenie więcej artystów niż dla jakiegokolwiek innej muzyki. Efekt jest fantastyczny. Dlatego jest tak tłoczno.

Rozejrzała się po sali. Na widowni siedziało tysiące ludzi. Ani jedno miejsce nie było wolne.

– Ta symfonia była ostatnią, którą skomponował Beethoven. Był na łożu śmierci i zdawał sobie z tego sprawę. Słysząc to w muzyce, dźwięki nadchodzącej śmierci – spojrział na nią i uśmiechnął się przepaszająco – Wybacz, trochę mroczny nastrój.

– W porządku – powiedziała. Rzeczywiście tak było. Uwielbiała go słuchać.

Miał bardzo przyjemny głos i mówił interesujące rzeczy. Reszta jej przyjaciół

zawsze prowadziła radosne rozmowy o niczym, Caitlin zawsze chciała czegoś więcej. Miała szczęście, że go poznała.

Chciała tak wiele powiedzieć Jonahowi, miała tyle pytań, które chciała zadać

– ale światła nagle przygasły, a rozmowy na widowni zaczęły cichnąć.

Porozmawiają później. Odchyliła się na oparcie i usiadła wygodnie.

Spojrziała w dół i ze zdziwieniem zobaczyła dłoń Jonaha. Położył rękę na oparciu między ich fotelami, wewnątrz do góry, jakby czekając na nią. Wyciągnęła swoją rękę, powoli, by nie wyglądać na zdesperowaną i położyła swoją dłoń w jego dłoni. Jego dotyk był delikatny i ciepły, poczuła jakby ich dłonie łączyły się już na zawsze.

Orkiestra zaczęła grać, wraz z pierwszymi nutami – miękka, spokojną melodią

– poczuła falę błęgiego szczęścia i zdała sobie sprawę, że nigdy w życiu nie było jej tak dobrze. Zupełnie zapomniała o wydarzeniach poprzedniego dnia. Nawet jeśli to były dźwięki niechybnej śmierci – słuchało się ich wspaniale.

*

Gdy Caitlin siedziała zasłuchana w muzykę, zastanawiając się dlaczego nigdy wcześniej jej nie słyszała, myśląc nad tym jak sprawić, by randka z Jonahem trwała jak najdłużej – ból powrócił. Uderzył nagle, prosto w brzuch, jak wtedy na ulicy, ostatkiem silnej woli powstrzymała się, by nie upaść przy Jonahu. Zagryzła zęby w cisy i starała się oddychać. Czuła krople potu występujące jej na czoło.

Kolejne ukłucie.

Tym razem jęknęła z bólu, tylko trochę, na tyle cicho, że muzyka wchodząca w crescendo prawie ją zagłuszyła. Mimo to Jonah chyba usłyszał, ponieważ odwrócił się ku niej zaniepokojony. Delikatnie dotknął jej ramienia.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Nic nie było w porządku. Ból był ogłuszający. I jeszcze coś: głód. Chciała wyć z głodu. Nigdy w życiu nie czuła nic podobnego.

Zerknęła na Jonaha, jej oczy natychmiast powędrowały w kierunku szyi.

Skupiła się na pulsującej arterii, podążała za nią wzrokiem, od ucha, w stronę gardła. Obserwowała pulsujący rytm, liczyła uderzenia serca.

– Caitlin? – zapytał znowu.

Pragnienie było zupełnie obezwładniające. Wiedziała, że jeśli nie ruszy się z miejsca natychmiast, nie będzie potrafiła się opanować. Musiała coś zrobić, była pewna, że za chwilę zatopi zęby w szyi Jonaha.

Ostatkiem silnej woli zerwała się raptownie z siedzenia, jednym szybkim susem przeskoczyła nad kolanami Jonaha i puściła się pędem po schodkach, w kierunku drzwi.

W tej samej chwili światła w sali nagle rozjarzyły się jasno, a ostatnie dźwięki muzyki ucichły. Przerwa. Cała widownia wstała na nogi w głośnych oklaskach.

Caitlin doskoczyła do drzwi kilka sekund przed tym, jak tłumy zaczęły wychodzić z pomiędzy rzędów.

– Caitlin?! – krzyknął Jonah gdzieś zza jej pleców. Pewnie właśnie podnosił

się z siedzenia by iść za nią.

Nie mogła pozwolić, żeby zobaczył ją w takim stanie. Co więcej, nie mogła pozwolić, by się do niej zbliżył. Czowała się jak dzikie zwierze. Pędziła pustymi korytarzami Carnegie Hall, idąc coraz szybciej, aż wreszcie puszczając się pędem.

Zanim się zorientowała, biegła z szaloną prędkością, przebiegając całe korytarze w kilka chwil. Była dzikim zwierzęciem, polowała. Potrzebowała pożywienia. Jedyne, czego była pewna, to że musiała uciec od tłumu. I to szybko.

Znalazła drzwi wyjściowe i rzuciła się na nie barkiem. Były zamknięte, ale siła uderzenia była na tyle duża, że wyważyła je z zawiasów.

Za drzwiami znajdowały się schody, niedostępne dla publiczności. Popędziła w dół, przeskakując po trzy schody na raz, by znowu znaleźć się przed zamkniętymi drzwiami. Je także wyważyła ramieniem i znowu była w jakimś korytarzu.

Był jeszcze bardziej elegancki i bardziej pusty niż inne. Nawet ogarniętą szaleńcą zdawała sobie sprawę, że dotarła gdzieś za kulisy. Podążyła w głąb korytarza, wijąc się z bólu. Wiedziała, że nie wytrzyma ani chwili dłużej.

Uniosła rękę i pchnęła pierwsze napotkane drzwi, które otworzyły się z trzaskiem. Za nimi znajdowała się garderoba.

Przed lustrem siedział Siergiej, gwiazda wieczoru, patrząc w swoje odbicie.

Widać jakimś sposobem trafiła do jego prywatnej garderoby.

Wstał, zirytowany.

– Przykro mi, to nie czas na autografy – burknął – Ochrona powinna panią o tym poinformować. Tą chwilę mam tylko dla siebie. Teraz proszę wybaczyć, muszę się przygotować.

Caitlin z gardłowym warknięciem skoczyła mu prosto do gardła, zatapiając głęboko zęby.

Zdołał krzyknąć. Ale już było za późno.

Jej zęby wbiły się głęboko w jego żyły, piła łapczywie. Czowała jego krew wypełniającą jej żyły, czowała, że pragnienie powoli przechodzi. Tego właśnie potrzebowała. I nie mogła czekać ani chwili dłużej.

Siergiej opadł nieprzytomny z powotem w swój fotel, a Caitlin odchyliła umazaną krwią twarz i uśmiechnęła się. Odkryła nowy przysmak. Nic nie powstrzyma jej od posmakowania go po raz kolejny.

Rozdział Siódmy

Grace O'Reilly, detektyw nowojorskiego wydziału zabójstw, otworzyła drzwi wejściowe do Carnegie Hall i z miejsca wiedziała, że sprawy mają się źle.

Widziała wielokrotnie rozszalałą prasę, to jednak przechodziło pojęcie.

Reporterzy cisnęli się w niezliczonych rzędach.

– Pani detektyw! – podniosły się krzyki, gdy tylko weszła do pomieszczenia, zewsząd rozbłysły flesze.

Tłum reporterów ledwie się cofał, gdy Grace i jej podwładni torowali sobie drogę korytarzem wejściowym. Silna i żyłasta czterdziestolatka, o krótkich, czarnych włosach i ciemnych oczach. Była twarda i przyzwyczajona do kłopotów.

Tym razem kłopotów była cała masa. Reporterzy doskonale zdawali sobie sprawę ze skali zdarzenia i nie mieli zamiaru odpuścić. To zdecydowanie utrudni jej życie.

Młody artysta światowej sławy zamordowany u szczytu kariery. W samym środku Carnegie Hall, w chwili swojego debiutu w Ameryce. Prasy i tak miało być tu pełno, mieli opisywać koncert, roznieść wieści o tym występie po stronach gazet w każdym państwie świata. Jeśli cokolwiek zdarzyłoby się gwiazdorowi, potknąłby się, upadł czy skreślił kostkę – artykuły pojawiłyby się na pierwszych stronach.

Stało się inaczej. Został zamordowany. W trakcie swojego zasnego występu.

Dwa kroki od miejsca, w którym śpiewał swoje arie, w przeciągu kilku minut. To po prostu szczyt wszystkiego. Prasa czepiła się tematu niczym rzep, nie mają zamiaru odpuścić.

Kilku reporterów rzuciło się na nią z mikrofonami.

– Pani detektyw! Słyszymy, że Siergiej został zagryziony przez dzikie zwierze.

Czy to prawda?

Zignorowała ich i przepchnęła się dalej.

– Dlaczego nie zapewniono lepszej ochrony wewnątrz Carnegie Hall, pani detektyw? – zapytał inny reporter.

– Plotka głosi – krzyknął kolejny – że to robota seryjnego zabójcy, mówią o nim ‘Rzeźnik z Opery’. Co pani na to?

Gdy dotarła wreszcie do drugiego krańca holu wejściowego, obróciła się w ich stronę.

Tłum zamarł w ciszy.

– Rzeźnik z Opery? – powtórzyła – Postaralibyście się bardziej...

I zanim ktokolwiek zdołał zadać kolejne pytanie zatrzasnęła za sobą drzwi.

Grace wspinała się bocznymi schodami Carnegie Hall, otoczona podwładnymi, którzy po drodze zdawali jej raport z tego, co zaszło. Po prawdzie

ledwo ich słuchała. Była zmęczona. Czterdzieści lat skończyła w tamtym tygodniu, nie powinna być tak wykończona. Jednak długie, marcowe noce dały jej w kość, potrzebowała odpocząć. To już trzecie morderstwo w tym miesiącu, nie licząc samobójstw. Potrzebowała trochę słońca, zieleni, miękkiego piasku pod stopami.

Chciała znaleźć się w miejscu, w którym nikt nikogo nie mordował, gdzie nikt nawet nie myślał o samobójstwie. Marzyło się jej inne życie.

Zerknęła na zegarek, gdy wchodzili w korytarz prowadzący za kulisy.

Pierwsza w nocy. A miejsce zbrodni na pewno jest już kompletnie zapaprane, ślady zatarte. Czemu nie zawiadomili jej wcześniej?

Powinna była wyjść za mąż mając trzydzieści lat, tak jak mówiła jej matka.

Wtedy miała kogoś. Nie był doskonały, ale dawał radę. Ale skoncentrowała się na karierze, jak jej ojciec. Myślała, że tego właśnie by chciał. Ale teraz ojciec nie żyje, a ona nigdy nie usłyszała czego by sobie życzył. Była już zmęczona. I samotna.

– Brak świadków – rzucił jeden z detektywów dotrzymujących jej kroku –

Kryminaliści twierdzą, że do zdarzenia doszło między 10:15 a 10:28

wieczorem. Brak wyraźnych śladów szamotaniny.

Grace nie podobało się to miejsce zbrodni. Zbyt wiele osób kręciło się wokół, zbyt wiele osób było tu przed jej przybyciem. Każdy jej krok będzie obserwowany. I nieważne jak doskonała będzie jej robota – śmietankę na pewno spije ktoś inny. W dochodzenie zaangażowanych było zbyt wiele wydziałów, a to znaczyło zbyt wiele polityki.

Wreszcie przedostała się przez ostatnie grupki reporterów i weszła na teren odgrodzony policyjną taśmą, gdzie wstęp mieli tylko wysocy rangą oficerowie.

Dopiero gdy minęła kolejny korytarz, rumor wreszcie ucichł. Znowu była w stanie myśleć.

Drzwi do garderoby ofiary były lekko uchylone. Podniosła rękę, założyła lateksową rękawiczkę i delikatnym pchnięciem otworzyła je na oścież.

Widziała już wszystko podczas swojej dwudziestoletniej służby. Widziała ludzi zamordowanych na wszystkie sposoby, nawet takie, które nie przyszłyby jej w najgorszych koszmarach. Ale czegoś takiego jeszcze nie widziała.

Nie żeby scena była wyjątkowo krwawa. Ani że zbrodnia była wyjątkowo brutalna. To było coś innego, coś szczególnego. Było jakby zbyt cicho. Wszystko było na swoim miejscu. Oprócz ciała, oczywiście. Zabity siedział w fotelu, odchylony w tył, z odsłoniętą szyją. A na niej znajdowały się dwie niewielkie ranki, dokładnie w miejscu żyły.

Żadnej krwi. Ani śladu walki. Nawet rozdarcia na ubraniu. Wszystko pozostawione na swoim miejscu. Conajmniej jakby nietoperz sfrunął z sufitu, wyssał jego krew do ostatniej kropelki i odleciał, nie ruszając nic innego.

Niesamowite. No i zupełnie przerażające. Gdyby nie trupioblada skóra zabitego, możnaby przysiąc, że nadal żyje, tylko uciał sobie drzemkę. Przez chwilę kusilo ją, by zbadać mu puls. Ale wiedziała, że to byłoby głupie.

Siergiej Rakow. Był młody. Był też, z tego co słyszała,
zarozumiałym dupkiem. Czyżby już zdołał narobić sobie wrogów?

Cholera jasna, co tu się stało? Zamyśliła się. Zwierzę? Czy jednak człowiek?

Jakaś nowa broń? A może sam zadał sobie te rany?

– Kąt natarcia ran wyklucza samobójstwo – powiedział detektyw Ramos, stając zaraz obok z notatnikiem w ręku, jak zwykle czytając jej w myślach.

– Chcę usłyszeć wszystko, co macie na jego temat – powiedziała – Chcę wiedzieć komu był winien pieniądze, jakich miał wrogów. Jego były dziewczyny, przyszłe żony. Wszystko. Może wkurzył ludzi, których wkurzać nie powinien.

– Tak jest – powiedział i wyszedł z pomieszczenia.

Dlaczego wybrali ten właśnie moment, by go zabić? Czemu w czasie przerwy? To jakieś ostrzeżenie?

Przechadzała się powoli w koło po grubym dywanie, spoglądając na trupa pod każdym kątem. Miał długie, czarne, falujące włosy i był niezwykle atrakcyjny, nawet po śmierci. Wielka strata.

Nagle pokój rozbrzmiał głośnymi dźwiękami, wszyscy oficerowie zwrócili się w jednym kierunku. Spojrzeli w górę i zobaczyli, że niewielki telewizor włączył się. Na ekranie widać było materiał z koncertu poprzedniego wieczora.

Grała Dziewiąta Symfonia Beethovena.

Jeden z detektywów podszedł do telewizora, by go wyłączyć.

– Zostaw – powiedziała.

Detektyw zatrzymał się wpół kroku.

– Chcę posłuchać.

Stała w miejscu, wpatrując się w Siergieja, słuchając jego głosu. Ten głos śpiewał na żywo jeszcze kilka godzin temu. Teraz był jak duch.

Grace okrążyła pokój raz jeszcze. Tym razem uklękła.

– Pokój został przeszukany, pani detektyw – powiedział jeden z agentów FBI niecierpliwie.

Zauważyła coś kątem oka. Sięgnęła w dół, w szczelinę obok oparcia fotela, głęboko. Wyciągnęła szyję i obróciła rękę, starając się sięgnąć samego dna.

Wreszcie znalazła czego szukała. Podniosła się, z poczerwieniałą twarzą i pokazała niewielki skrawek papieru.

Wszyscy spojrzeli na nią.

– Odcinek biletu – powiedziała, obracając go w dłoni z naciągniętą rękawiczką – Prawa Loża, miejsce trzecie. Z dzisiejszego koncertu.

Podniosła oczy i spojrzała na swoich podwładnych. Odpowiadali spojrzeniami bez wyrazu.

– Sądzi pani, że należał do mordercy? – zapytał jeden z nich.

– Wiem jedno – powiedziała, patrząc po raz ostatni na ciało rosyjskiego solisty operowego – Na pewno nie należał do zabitego.

*

Kyle szedł po czerwonych dywanach korytarzy, krocząc między gęstym tłumem. Był zirytowany, jak zwykle. Nie znosił tłumów, tak jak nie znosił

Carnegie Hall. Był tu raz na koncercie w 1890 roku czy jakoś tak, i nie bawił się zbyt dobrze. A był pamiętliwy.

Gdy szedł korytarzem, z twarzą okoloną wysokim, prostym kołnierzem czarnej koszuli, ludzie ustępowali mu miejsca. Oficerowie, ochroniarze, reporterzy – cały tłum rozstępował się na boki.

Ludzi zbyt łatwo można kontrolować – pomyślał. Wystarczy odrobina manipulacji umysłami i rozbiegają się niczym owce.

Kyle, wampir Klanu Blacktide, widział już niejedno podczas 3 000 lat swego życia. Był świadkiem śmierci Chrystusa. Obserwował Rewolucję Francuską.

Oglądał Europę spustoszoną czarną ospą – nawet pomógł jej się przemieścić. Nic nie było w stanie go zaskoczyć.

Ta noc jednak przyniosła zaskoczenie. A on nie lubił niespodzianek.

Zwykle pozwalał działać swojej niecodziennej aparycji, by torować sobie drogę przez tłum. Mimo swych lat, nadal wyglądał młodo i przystojnie, więc ludzie zwykle ustępowali mu miejsca. Dziś jednak nie starczało mu na to cierpliwości, szczególnie w tej sytuacji. Miał ważne pytania domagające się odpowiedzi.

Cóż za wampir–wyrzutek mógł być na tyle bezczelny, by otwarcie zabić człowieka? Do tego w miejscu publicznym, gdzie ciało musiało zostać prędko znalezione. To pogwałcenie wszystkich zasad ich rasy. Można być dobrym lub złym, lecz tej linii nikt nie przekraczał. Nikomu nie zależało na zwracaniu niepotrzebnej uwagi.

Tego rodzaju łamanie ich praw zasługiwało na jedną karę: śmierć. Długą, straszliwą śmierć.

Kto mógł być na tyle zuchwały? Zwracać tyle niepotrzebnej uwagi ze strony prasy, polityków, policji? I co gorsza, na terenie jego klanu? To szkodziło reputacji grupy – nawet gorzej – sprawiało, że wyglądali na bezbronnych. Cała rasa wampirów może pociągnąć ich do odpowiedzialności zebrawszy się na sabat. A jeśli nie znajdą odszczepieńca, sytuacja może skończyć się wojną. A w

tej chwili nie byłoby ich stać na prowadzenie wojny, nie kiedy mieli wprowadzić w życie swój plan.

Kyle przechodził obok oficer policji, ta zaś zamiast usunąć się – potrafiła go.

Co gorsza, odwróciła się i zmierzyła go ciężkim spojrzeniem. Był zaskoczony.

Żaden z obecnych tu ludzi nie miał na tyle silnej woli, by choć zwrócić na niego uwagę. Musiała być silniejsza od innych. Albo to on stawał się nieuważny.

Skoncentrował moc swojego umysłu na niej. Po chwili potrząsnęła tylko głową, odwróciła się i odeszła. Musiał ją zapamiętać. Spojrzał na jej odznakę.

Detektyw Grace Grant. Mogła w przyszłości sprawić kłopoty.

Kyle podążał dalej, między tłumem reporterów, minął taśmę policyjną i kolejną grupkę agentów FBI. Podeszedł do otwartych drzwi i zajrzał do środka. W

pomieszczeniu pełno było kolejnych agentów, a także mężczyzna w drogim garniturze. Jego nieszczerze, ambitne spojrzenie podpowiedziało Kyle'owi, że ma do czynienia z politykiem.

– Ambasada rosyjska wyraziła zaniepokojenie – powiedział natarczywym tonem do oficera FBI – Ma pan świadomość, że ta sprawa znajduje się w kręgu zainteresowań szerszym niż nowojorska policja, czy nawet rząd Stanów Zjednoczonych. Siergiej był gwiazdą, skarbem naszego narodu. Jego morderstwo będzie uznane za obrazę naszego kraju.

Kyle uniósł dłoń i siłą woli zamknął usta polityka. Nie znosił słuchać polityków, a ten już zdrowo się nagadał. Rosjan także nie znosił. Właściwie nie znosił większości rzeczy. Ale dziś jego niechęć działała na wyższych obrotach, zaś zniecierpliwienie sprawiało, że tracił nerwy.

Nikt z obecnych nie zdawał się dostrzec, że to Kyle uciszył polityka, nawet sam polityk. A może po prostu byli mu wdzięczni. Tak czy inaczej Kyle stanął z boku i użył swej mocy by sprawić, że wszyscy opuszczą pokój.

– Proponuję parę minut przerwy, napijmy się kawy – dowodzący agent FBI powiedział nagle – Trzeba poukładać myśli.

Obecni pokiwali głowami zgodnie i szybko opuścili pomieszczenie, jakby to był ich własny pomysł. Na koniec Kyle sprawił, że ostatni zamknął drzwi za sobą.

Nie znosił dźwięku ludzkich rozmów, nie miał zamiaru słuchać ich w takiej chwili.

Kyle odetchnął głęboko. Będąc wreszcie sam mógł skupić swoje myśli na tym człowieku. Podszedł blisko i pociągnął za kołnierzyk Siergieja odsłaniając ślady ugryzienia. Uniósł dłoń i położył na nich dwa blade, zimne palce. Podniósł je do oczu, mierząc odległość między palcami.

Kły miały mniejszy rozstaw, niż oczekiwał. Kobieta. Ich wampir–renegat był

dziewczyną i to młodą. Ugryzienie było płytkie.

Położył palce z powrotem na rankach i zamknął oczy. Starał się poczuć linię krwi, poczuć istotę wampira, który zadał te rany. Po chwili jego oczy otworzyły się, szerokie ze zdumienia. Szybko wycował dłoń. Nie poczuł nic dobrego, nie udało mu się rozpoznać krwi. Z pewnością wampirzyca była odszczepieńcem. I nie należała do jego klanu, ani żadnego, który znał. Co więcej, nie był w stanie wyczuć pochodzenia wampira. W ciągu trzech tysięcy lat nie nigdy mu się to nie zdarzyło.

Uniósł palce do ust i posmakował ich. Poczł woń wampirzycy. To by zwykle wystarczyło – wiedziałby gdzie jej szukać. Jednak nadal był w kropce. Coś ograniczało jego moc.

Zmarszczył brew. W tym przypadku nie mieli innego wyjścia, niż zaufać ludzkiej policji, by ją znalazła. Jego przełożeni nie będą zadowoleni.

Kyle był jeszcze bardziej zirytowany niż do tej pory, choć wydawałoby się, że to niemożliwe. Spojrzał na ciało Siergieja i zastanowił się co z nim zrobić. W

przeciągu kilku godzin obudzi się do nowego życia, kolejny wampir bez klanu na tym świecie. Mogł zabić go tu i teraz, na dobre,

skończyć z tym. To sprawiłoby mu przyjemność. Wampirza rasa nie potrzebowała nowych członków.

Ale to znaczyłoby, że Siergiej otrzyma z jego rąk wspaniały dar. Nie musiałby cierpieć przekleństwa nieśmiertelności, tysięcy lat rozpacz i walki o przetrwanie. Niekończących się nocy. Nie, to byłoby zbyt proste. Nie lepiej zmusić Siergieja, by cierpiał razem z nim?

Pomyślał o tym chwilę. Śpiewak operowy. Tak. Jego klan znalazłby w nim upodobanie. Ten mały, rosyjski chłopiec zabawi ich wspaniale. Przyprowdzi go z powrotem. Uczyni członkiem klanu. I zyska nowego sługę.

Na dodatek Siergiej pomoże im ją znaleźć. Jej woń zmieszana jest jego krwią.

Mogł ją wytropić. A oni sprawią, że przekona się co to cierpienie.

Rozdział Ósmy

Caitlin obudziła się w bólu. Czowała jakby jej skóra płonęła, a gdy spróbowała otworzyć oczy, kłujący ból zmusił ją, by zamknęła je z powrotem. Zdawało się, jakby jej głowa miała eksplodować.

Wciąż z zamkniętymi oczyma, po omacku spróbowała wyczuć, gdzie się znajduje. Leżała na czymś. Czymś miękkim, a jednocześnie solidnym. I nierównym. Na pewno nie na materacu. W dotyku było jak plastik.

Caitlin bardzo powoli otworzyła oczy i wzrokiem zbadała, czego dotykają jej dłonie. Plastik, rzeczywiście. Czarny plastik. I ten smród. Cóż to takiego?

Zerknęła w bok, rozchyliła szerzej oczy i wreszcie zorientowała się. Leżała wyciągnięta na plecach na stosie worków ze śmieciami. Zadarła głowę. Była wewnątrz kontenera na śmieci.

Podniosła się gwałtownie. Ból znów eksplodował, jej szyja i głowa pękały z bólu. Smród był nie do zniesienia. Otworzywszy oczy, rozejrzała się wokół

przerażona. Jak się tu znalazła?

Potarła czoło, próbując przypomnieć sobie, co zdarzyło się wcześniej.

Absolutna pustka. Z całych sił próbowała przypomnieć sobie wczorajszą noc.

Powoli wspomnienia zaczęły do niej wracać.

Kłótnia z matką. Jazda metrem. Spotkanie z Jonahem. Carnegie Hall. Koncert.

A potem... potem...

Głód. Pragnienie. Tak, pragnienie. Ucieczka od Jonaha. Bieg. Bieg korytarzem. A potem... Pustka. Nic więcej.

Gdzie była potem? Co robiła? I jakim cudem znalazła się w tym miejscu?

Może Jonah dosypał jej czegoś? Potem wykorzystał i zostawił tutaj?

Nie, to niemożliwe. Nie mogła wyobrazić go sobie w takiej roli. Ostatnie co pamiętała to bieg korytarzem, wtedy była sama. Zostawiła go daleko z tyłu. Nie.

To nie jego wina.

Więc co?

Caitlin powoli podniosła się na kolana, ale jedną nogą ześlizgnęła się między dwa worki, zapadając się niżej. Wyszarpnęła szybko stopę z pułapki i oparła się na czymś twardszym, usłyszała trzask zgniatanych plastikowych butelek.

Spojrzała w górę i zorientowała się, że metalowa pokrywa kontenera była otwarta. To ona otworzyła ją wczoraj i wdrapała się do środka? Czemu niby miałyby zrobić coś takiego? Sięgnęła w górę, i ledwo dostając do krawędzi, złapała się jej mocno. Bała się, że nie starczy jej sił by się podciągnąć i wydostać na zewnątrz.

Mimo to spróbowała i ze zdumieniem stwierdziła, że poszło jej to bardzo sprawnie: jeden zgrabny ruch pozwolił, by przerzucić nogi przez krawędź i zeskoczyć dwa metry na beton. Kolejnym zdziwieniem było zręczne lądowanie, które ledwie poczuła. Co się z nią działo?

Gdy Caitlin zeskakiwała na chodnik nowojorskiej ulicy, obok przechodziła elegancko ubrana para. Zaskoczyła ich i przestraszyła. Obrócili się i osłupieli, nie mogąc pojąć, dlaczego nastolatka wyskakuje nagle z wielkiego kontenera na śmieci. Wreszcie przyspieszyli kroku, próbując oddalić się tak szybko, jak to było możliwe.

Trudno się dziwić, stwierdziła Caitlin. Sama pewno zrobiłaby tak samo.

Spojrzała na swoje ubranie. Nadal miała na sobie strój wieczorowy, choć teraz był on umorusany i pokryty śmieciami. Cuchnęło.

Spróbowała zetrzeć z siebie choć trochę brudu.

Sprawdziła też swoje kieszenie. Nie miała telefonu. W panice próbowała przypomnieć sobie, czy wzięła go z domu.

Nie. Zostawiła telefon w mieszkaniu, w swoim pokoju, na rogu biurka. Miała zamiar go wziąć, ale była tak wzburzona zajściem z mamą, że po prostu zapomniała. *Cholera*. I na dodatek zostawiła swój pamiętnik. Potrzebowała obu tych rzeczy. No i wziąć prysznic, i przebrać się.

Caitlin spojrzała na nadgarstek, ale zegarka też nie było. Musiała zgubić go gdzieś wieczorem. Wyszła z bocznej uliczki na tłumny chodnik, promienie słońca padły na jej twarz. Jej czoło rozjarzyło się bólem.

Szybko dała krok w tył, w cień. Nie miała pojęcia co się działo. Na szczęście było późne popołudnie. Miała nadzieję, że ten kac, czy cokolwiek to było, szybko minie.

Spróbowała rozsądnie pomyśleć. Dokąd mogła pójść. Chciała zadzwonić do Jonaha. To głupie, przecież ledwo go znała. I po wczorajszym wieczorze, po tym jak się zachowywała, była pewna, że Jonah nie chce jej znać. Mimo tego, był

pierwszą osobą, która przyszła jej do głowy. Chciała usłyszeć jego głos, być blisko niego. A poza tym, chciała by przypomnieli jej, co zdarzyło się wczoraj.

Strasznie chciała z nim porozmawiać. Potrzebowała telefonu.

Pójdzie do domu ten jeden, ostatni raz, weźmie telefon i pamiętnik, i wyjdzie.

Modliła się, by jej mamy tam nie było. Chociaż raz, niech ślepy los będzie po jej stronie.

*

Caitlin stanęła przed swoim blokiem i spojrzała w górę oceniając sytuację.

Słońce zachodziło, więc światło nie przeszkadzało jej tak bardzo. Tak naprawdę, wraz z nadchodzącą nocą czuła się coraz silniejsza z godziny na godzinę.

Wbiegła pięć pięter w błyskawicznym tempie, zadziwiając samą siebie.

Przeskakiwała po trzy schody na raz, a jej nogi zdawały się zupełnie nie odczuwać zmęczenia. Nie mogła nadziwić się, co działo się z jej

ciałem.

Cokolwiek to było – było fantastyczne.

Jej dobry nastrój zniknął, gdy podeszła do drzwi mieszkania. Serce zaczęło walić jej w piersi, gdy zastanawiała się czy zostanie mamę w domu. Jak zareaguje na jej widok?

Ale gdy sięgnęła do klamki, ze zdziwieniem stwierdziła, że drzwi są otwarte i lekko uchylone. Jej niepokój przybrał na sile. Dlaczego drzwi miałyby być otwarte?

Caitlin ostrożnie weszła do środka, drewniana podłoga skrzypiała pod jej stopami. Powoli przekradła się z korytarza do dużego pokoju.

Zaczęła rozglądać się od wejścia – to, co zobaczyła zaszokowało ją tak, że aż bezwiednie uniosła dłonie do ust, próbując powstrzymać obrzydliwą falę mdłości. Odwróciła się i wymiotowała.

To była jej mama. Leżała przy ścianie, jakby osunęła się na podłogę, nadal z otwartymi oczyma. Martwa. Jej matka. Martwa. Jak...?

Krew sączyła się jej z rany na szyi i zbierała w małą kałużę. To niemożliwe, by zrobiła to sobie sama. Została zabita. Zamordowana. Ale jak? Przez kogo?

Mimo że nienawidziła mamy, nie życzyła jej nigdy takiego losu.

Krew wciąż była świeża. Caitlin nagle zorientowała się, że od zdarzenia musiała minąć zaledwie chwila. Otwarte drzwi. Ktoś się włamał?

Natychmiast okręciła się na pięcie, rozglądając się wokół, czując że włosy stają jej dęba. Czy ktoś jeszcze był w mieszkaniu?

Jakby w odpowiedzi na niewypowiedziane pytanie, w tej samej chwili, troje ludzi ubranych w czerń od stóp do głów wyszło z drugiego pokoju. Zupełnie swobodnie weszli do dużego pokoju, idąc w stronę Caitlin. Trzech mężczyzn.

Trudno było ocenić ich wiek – ani starzy, ani młodzi – może przed trzydziestką.

Wszyscy trzej byli dobrze zbudowani. Muskularni. Ani grama tłuszczu pod skórą.

Dobrze ubrani, zadbani. I bardzo, bardzo bladzi.

Jeden z nich wysunął się na przód.

Caitlin ze strachu cofnęła się o krok. Ogarniało ją nowe odczucie, uczucie absolutnego przerażenia. Nie rozumiała jak, ale była w stanie poczuć aurę tej osoby. Była bardzo, bardzo zła.

– Tak więc – powiedział przywódca głębokim, złowieszczym głosem – pisklę wraca do gniazda.

– Kim jesteście? – spytała Caitlin, wycofując się. Spojrzała po pokoju w poszukiwaniu jakiejś broni. Może jakaś rura, albo kij bejsbolowy. Zaczęła myśleć, jak się stąd wydostać. Okno za jej plecami. Chyba prowadziło do schodów pożarowych?

– Chcieliśmy spytać dokładnie o to samo – powiedział przywódca – Twoja ludzka przyjaciółka nie wiedziała zbyt wiele – powiedział, wskazując na ciało matki – Mam nadzieję, że ty będziesz bardziej rozmowna.

Ludzka? O co mu chodzi?

Caitlin cofnęła się jeszcze kilka kroków. Była już prawie na skraju pokoju.

Prawie oparta o ścianę. Przypomniała sobie: za oknem rzeczywiście były schody pożarowe. Wyszła na nie posiedzieć pierwszego dnia w nowym mieszkaniu. Były porządnie. I rozklekotane. Ale dawały jej szansę.

– Polowanie, które urządziłaś sobie w Carnegie Hall było naprawdę niczego sobie – powiedział. Cała trójka zaczęła powoli zbliżać się do niej, krok za krokiem – Niezwykle dramatyczny spektakl.

Caitlin próbowała desperacko cokolwiek sobie przypomnieć.

Polowanie? Jakkolwiek by się nie starała, nie miała najmniejszego pojęcia, o czym mówi mężczyzna.

– Dlaczego podczas przerwy? – spytał – Co chciałaś udowodnić?

Stała oparta o ścianę, nie było gdzie się cofnąć. A oni znów podeszli o krok.

Była absolutnie pewna, że zabiją ją, jeśli nie powie im tego, co chcą usłyszeć.

Wyteżyła umysł. *Udowodnić? Podczas przerwy?* Pamiętała bieg korytarzami, grube, czerwone chodniki, bieg od jednego pomieszczenia do drugiego.

Poszukiwanie. Tak, wracała jej pamięć. Wreszcie otwarte drzwi. Garderoba. A w niej mężczyzna. Spojrzył na nią. W jego oczach błysnął strach. A wtedy...

– Byłaś na *naszym* terenie – powiedział – I znasz zasady. Musisz ponieść karę.

Znów podeszli o krok.

Nagły trzask.

Raptem drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadło kilku umundurowanych policjantów z bronią w ręku.

– Ręce do góry, kurwa wasza mać! – wrzasnął jeden z nich.

Trójka odwróciła się i spojrzała na policję.

A potem, powoli i zupełnie spokojnie ruszyli w ich stronę.

– Łapy, mówię!

Przywódca szedł dalej, policjant oddał strzał. Huk był ogłuszający.

Jednak przywódca nie zatrzymał się nawet na chwilę. Jego uśmiech poszerzył

się tylko, sięgnął ręką przed siebie i złapał kulę w locie. Caitlin nie była w stanie uwierzyć, złapał pocisk w locie. Podniósłszy dłoń, powoli ją zacisnął, zgniatając kulę. Gdy rozprostował palce, z pomiędzy nich na podłogę posypał się proch.

Policjanci także zdębieli, ze zdumienia otwierając usta.

Przywódca uśmiechnął się jeszcze szerzej i złapał za strzelbę jednego z policjantów. Wyrwał mu ją z rąk, przeładował i zdzielił glinę kolbą w twarz.

Policjant poleciał do tyłu, przewracając kilku podwładnych.

Caitlin tyle wystarczyło.

Bez wahania odwróciła się, otworzyła okno i skoczyła przez nie na schody pożarowe. Pędem puściła się w dół.

Biegła wyteżając wszystkie siły. Stare schody nie były w użyciu od lat, więc przy którymś z kroków zapadł się pod nią schodek.

Pośliznęła się z krzykiem, lecz utrzymała równowagę. Całe schody ruszały się i chwiały, ale trzymały się w kupie.

Zbiegła już trzy piętra, gdy usłyszała hałas. Spojrzała w górę, by zobaczyć, że trzech mężczyzn skacze na schody. Ruszyli za nią, niemożliwie prędko. O wiele szybciej, niż poruszała się ona. Przyspieszyła kroku.

Dotarła do pierwszego piętra, dalej nie było gdzie uciekać: do chodnika zostało dobre kilka metrów. Zerknęła za siebie, pogoń

zbliżała się. Znow spojrzała w dół. Nie ma innego wyjścia.
Skoczyła.

Caitlin spięła się w oczekiwaniu na wstrząs twardego lądowania. Jednak wylądowała lekko, spadając na ugięte stopy, zgrabnie niczym kot, ledwo cokolwiek poczuła. Rzuciła się pędem przed siebie, pewna, że zgubi prześladowców, kimkolwiek byli.

Gdy dotarła do krańca kamienicy, zadziwiona swoją prędkością, zerknęła w tył, sądząc, że zobaczy ich daleko za sobą.

Przerażona zorientowała się, że biegną kilka metrów za jej plecami. Jak to możliwe?

Nie zdążyła zrobić nic więcej, gdy poczuła, że ktoś rzuca się na nią. Próbowali powalić ją na ziemię.

Caitlin skupiła całą swą nowonabytą siłę by opędzić się od napastników.

Jednego zdzieliła łokciem i z radością patrzyła, jak leci kilka metrów w bok.

Zachęcona sukcesem odwróciła się i dołożyła łokciem drugiemu, znowu z zadowoleniem stwierdzając, że i ten poleciał kilka metrów w bok.

Jednak przywódca wylądował dokładnie na niej i chwycił ją za gardło. Był

silniejszy niż reszta. Spojrzała w jego wielkie, kruczoczarne oczy. Jakby patrzyła w oczy rekina. Bezduszne. Wcielenie śmierci.

Caitlin wyteżyła wszystkie siły, każdą kropelkę mocy. Zdołała przeturlać się i zrzucić z siebie mężczyznę. Skoczyła na równe nogi i znow rzuciła się w pęd.

Nie odbiegła jednak daleko— przywódca znow ją dopadł. Jak to możliwe, że jest tak szybki? Właśnie rzuciła nim przez całą uliczkę.

Tym razem, zanim zdołała cokolwiek zrobić, poczuła uderzenie w policzek.

Zdzielił ją wierzchem dłoni, mocno. Świat zawirował. Szybko odzyskała świadomość, gotowa walczyć, gdy nagle pozostała dwójka doskoczyła do niej i przytrzymała na ziemi. Przywódca wyjął chustkę z kieszeni.

Zanim zdążyła zareagować, chustka nakryła jej nos i usta.

Gdy brała ostatni, głęboki oddech, świat znów zawirował i zasnuł się mgłą.

Zanim zapadła całkowita ciemność mogła przysiąc, że słyszy głęboki głos szepczący jej do ucha:

– Teraz należysz do nas.

Rozdział Dziewiąty

Caitlin obudziła się w całkowitej ciemności. Czuła uścisk zimnego metalu na nadgarstkach i kostkach, ręce i nogi bolały. Zorientowała się, że jest skuta kajdanami. Na stojąco. Ręce miała rozciągnięte na boki, próbowała nimi ruszać, lecz nawet nie drgnęły. Tak samo nogi. Przy każdej próbie słyszała brzęk, czuła że zimny, twarde metal coraz głębiej wpija się w jej ciało. Cholera, co to za miejsce?

Caitlin otworzyła szerzej oczy. Próbowała zorientować się, co to za miejsce.

Serce waliło jej z nerwów. Było zimno. Wciąż była ubrana, ale stopy miała bose, czuła zimno kamiennej posadzki pod nogami. Plecami także oparta była o kamień.

Przykuta do muru.

Rozejrzała się po pomieszczeniu, próbując cokolwiek dostrzec, jednak ciemność była nieprzenikniona. Było jej zimno. I była strasznie spragniona.

Przełknęła ślinę, gardło miała wyschnięte na proch.

Szarpała się jak tylko mogła, lecz nawet jej nowonabyta siła nie dała rady łańcuchom. Utknęła tu na dobre.

Caitlin otworzyła usta, by zawołać pomocy. Przy pierwszej próbie nie wydała z siebie dźwięku, miała zbyt wysuszone gardło. Jeszcze raz przełknęła ślinę.

– Pomocy! – krzyknęła, jej głos brzmiał ochryple – POMOCY! – drugi krzyk był już głośniejszy i wyraźny.

Wyteżyła słuch. Nic. Słyszała tylko cichy dźwięk, jakby szelest skrzydeł, gdzieś w oddali, nie była pewna gdzie.

Starła się przypomnieć sobie, gdzie była ostatnio.

Pamiętała, że przyszła do domu, do mieszkania. Skrzywiła się, przypomniawszy sobie mamę. Nie żyła. Czuła głęboki smutek, jakby to ona była temu winna. Męczyły ją wyrzuty sumienia. Szkoda, że nie umiała być lepszą córką, nawet dla matki, której też daleko było do ideału. Nawet, jeśli to nie była jej prawdziwa matka–

czego dowiedziała się wczoraj. Czy to prawda? Czy po prostu coś, co wyrzuciła z siebie w złości?

A potem... tych trzech mężczyzn. Ubranych na czarno. Błdych. Zbliżających się do niej. Potem... policja. Wystrzelona kula. Jak można było złapać kulę w locie? Czym byli ci mężczyźni? Dlaczego tak dziwnie używali słowa "ludzie"?

Można by pomyśleć, że po prostu byli niespełna rozumu, gdyby nie to łapanie pocisków w locie.

Potem... ulica. Pogoń.

I wreszcie... Ciemność.

Caitlin nagle usłyszała skrzypnięcie metalowych drzwi. Zmrużyła oczy, gdy w oddali pojawiło się światło. Pochodnia. Ktoś zbliżał się, niosąc płonąca pochodnię.

Gdy postać zbliżała się, pomieszczenie zaczęło się rozjaśniać. Było wielkie, rozbrzmiewało echem, całkowicie wykute w skale. Wyglądało pradawnie.

Gdy mężczyzna zbliżył się bardziej, Caitlin była w stanie dojrzeć jego twarz.

Podniósł wyżej pochodnię i spojrzał na nią, jak patrzy się na robactwo.

Wyglądał groteskowo. Jego twarzy była wykrzywiona, co sprawiało, że wyglądał jak stara, wychudzona wiedźma. Skrzywił się w uśmiechu odsłaniając rząd małych, pożółkłych zębów. Jego oddech cuchnął. Zbliżył się do niej na odległość dłoni, patrząc na nią. Podniósł dłoń do jej twarzy, mogła zobaczyć jego długie, zakrzywione, żółte paznokcie. Wyglądały jak szpony. Przeciagnał nimi powoli po jej policzku, na tyle lekko, by nie rozciąć skóry, lecz to wystarczyło, by wstrząsnęło nią obrzydzenie. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Kim jesteś? – spytała Caitlin w przerażeniu – Gdzie my jesteśmy?

Skrzywił się, niczym drapieżnik oglądający ofiarę. Spojrzał na jej gardło i oblizał usta.

W tym momencie Caitlin usłyszała dźwięk skrzypnięcia kolejnych metalowych drzwi i zobaczyła przybliżające się pochodnie.

– Zostaw! – dobiegł ją krzyk z oddali. Mężczyzna stojący przy niej szybko odbiegł kilka kroków. Posłusznie opuścił głowę.

Cała grupa zbliżała się do niej, gdy podeszli bliżej, rozpoznała ich przywódcę. To on ścigał ją wczoraj.

Napotkał jej spojrzenie i uśmiechnął się lodowato. Twarz mężczyzny była piękna, pozbawiona oznak wieku, lecz przerażająca. Zła. Jego duże, kruczoczarne oczy wpiły się w nią.

Wokół niego szło pięciu innych mężczyzn, wszyscy ubrani podobnie jak on, na czarno, jednak żaden nie wyglądał tak potężnie czy przystojnie. Pomiędzy nimi były także dwie kobiety, patrzyły na nią równie chłodno.

– Musisz wybaczyć naszemu słudze – powiedział mężczyzna niskim, chłodnym i rzeczowym głosem.

– Kim jesteś? – spytała Caitlin – Dlaczego mnie tu zabraliście?

– Wybacz spartańskie warunki – powiedział mężczyzna, przeciągnawszy dłonią po grubych, metalowych łańcuchach, którymi przykuta była do ściany – Z

radością puścimy cię wolno – powiedział – jeśli tylko odpowiesz na kilka pytań.

Spojrzała na niego, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Pozwól, że się przedstawię. Na imię mam Kyle. Jestem zastępcą przywódcy Klanu Blacktide – zrobił pauzę – Twoja kolej.

– Nie wiem czego ode mnie chcecie – odpowiedziała Caitlin.

– Na początek powiedz z jakiego jesteś klanu. Do kogo należysz?

Caitlin wyteżyła umysł, starając się zorientować, czy aby nie oszalała. A jeśli to wszystko tylko wytwór jej umysłu? To musiał być jakiegoś rodzaju przedziwny sen, koszmar. Jednak nadal czuła chłód niezwykle rzeczywistej stali na nadgarstkach i kostkach, wiedziała że to wszystko prawda. Nie miała pojęcia co powiedzieć mężczyźnie. O czym on mówił? Klan? Coś jak... wampirzy klan?

– Nie należę do nikogo – powiedziała.

Patrzył na nią przez chwilę, po czym potrząsnął głową.

– Jak sobie życzysz. Mieliśmy już do czynienia z odszczepieńcami. Zawsze to samo: przybywają, by nas sprawdzić. Jak dobrze bronione jest nasze terytorium.

Po nich przychodzą inni. Tak właśnie przesuwają się granice.

– Ale widzisz, nigdy nie uchodzą żywi. Nasz klan jest najstarszym i najsilniejszym na tej ziemi. Nikt tu nie morduje, by potem uciec

przed odpowiedzialnością.

– Zapytam raz jeszcze: kto cię przysłał? Kiedy planują swój atak?

Terytoria? Ataki? Caitlin nie mogła pojąć jakim cudem to nie sen. Może ktoś dosypał jej jakiegoś narkotyku. Może Jonah podał jej coś. Tylko że nic wtedy nie piła. I nigdy nie brała narkotyków. To nie był sen, to wszystko prawdziwe.

Strasznie, niewyobrażalnie prawdziwe.

Mogła potraktować tych ludzi jak bandę wariatów, jak jakąś dziwną sektę czy tajemne stowarzyszenie kompletnych pomyleńców. Jednak po wszystkim, co zdarzyło się w ciągu ostatnich 48 godzin nie była tak pewna. Jej dziwna siła, dziwne zachowanie. Czowała, że jej ciało się zmienia. Czy historie o wampirach mogły być prawdą? Czy była jedną z nich? I na dodatek wpadła w sam środek jakiejś wampirzej wojny? To się nazywa mieć szczęście.

Caitlin zamyśliła się, wpatrując się w mężczyznę. Naprawdę kogoś zabiła?

Kogo? Nie pamiętała nic takiego, ale jakiś głęboki żal, który czuła gdzieś głęboko, podpowiadał jej, że to prawda. To przygnębiło ją bardziej niż wszystko inne. Wstrząsnęły nią straszne wyrzuty sumienia. Jeśli to prawda, to była mordercą. Nic już tego nie zmieni.

Znów spojrzała na mężczyznę.

– Nikt mnie nie przysłał – powiedziała wreszcie – I niezbyt dobrze pamiętam, co takiego zrobiłam. Cokolwiek to było, to tylko moja wina. Tak naprawdę nie

wiem co się stało. Jest mi bardzo przykro, przepraszam – powiedziała – Nie chciałam zrobić nic złego.

Kyle odwrócił się i spojrzał na innych. Odpowiedzieli spojrzeniem.

Potrząsnął głową i znów zwrócił się do niej. Jego spojrzenie stało się zimne i twarde.

– Widzę, że masz mnie za głupca. Niezbyt mądrze.

Kyle skinął na swych podwładnych, którzy podeszli szybko i rozkuli kajdany.

Poczuła, że jej ramiona opadają luźno, z ulgą poczuła krew znów dopływającą do jej nadgarstków. Następnie rozkuli jej nogi. Czwororo z nich, dwóch po obu jej stronach chwyciło ją za ramiona.

– Jeśli nie chcesz rozmawiać ze mną – powiedział Kyle – pomówisz ze Zgromadzeniem. To twoja własna decyzja, pamiętaj. Oni nie

okażą litości, do której ja jestem zdolny.

Gdy ją wyprowadzali, Kyle dodał jeszcze:

– Nie żyw fałszywych nadziei, tak czy inaczej zginiesz. Z mojej ręki śmierć nadeszłaby szybko i bez bólu. Teraz poznasz prawdziwe cierpienie.

Caitlin próbowała się opierać, gdy ciągnęli ją naprzód. Nic to nie dało.

Prowadzili ją gdzieś i nic nie mogła poradzić, tylko zaakceptować swój los.

I modlić się.

*

Gdy otworzyli dębowe drzwi, Caitlin nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Pomieszczenie było ogromne, w kształcie wielkiego okręgu, z sufitem opierającym się na kilkudziesięciometrowych, bogato zdobionych kamiennych kolumnach. Było dobrze oświetlone, wszędzie, co trzy kroki, wisiała pochodnia, przypominało rzymski Panteon. I wyglądało prastaro.

Gdy wprowadzono ją do środka, od wejścia uderzył w nią rumor. Tłum był

ogromny. Rozglądając się wokół, zobaczyła setki, jeśli nie tysiące mężczyzn i kobiet ubranych na czarno, poruszających się prędko po sali. Ich sposób poruszania się był przedziwny: zbyt szybko, zbyt chaotycznie, tak... nieludzko.

Usłyszała szelest skrzydeł i spojrzała w górę. Kilkadziesiąt osób skakało, czy przelatywało z podłogi pod sufit, spod sufitu na balkony, z kolumn na gzymsy. Ten sam dźwięk słyszała wcześniej. Jakby weszła do jaskini pełnej nietoperzy.

Gdy wreszcie dotarło do niej co widzi, poczuła olbrzymi wstrząs. Wampiry są prawdziwe. Czy była jedną z nich?

Poprowadzili ją na środek pomieszczenia, pobrzękując łańcuchami, bosymi stopami wlokąc po zimnych kamieniach, i postawili w środku dużego okręgu wyłożonego płytkami.

Gdy dotarła na miejsce, hałas powoli ucichł. Tłum zamarł. Setki wampirów zajęło miejsca w wielkim, kamiennym amfiteatrze naprzeciw niej. Wyglądało to jak zebranie senatu, jak obraz prezydenta wygłaszającego expose – oprócz tego, że zamiast setek

polityków patrzyły na nią setki wampirów. Ich dyscyplina była imponująca. W przeciągu sekund wszyscy siedzieli, zupełnie cicho. W sali ucichły wszystkie dźwięki.

Gdy stała w środku pomieszczenia, przytrzymywana w miejscu przez straż, Kyle podszedł z boku, złożył ręce i pochylił głowę z szacunkiem.

Przed zgromadzeniem stało ogromne, kamienne siedzenie. Wyglądało jak tron.

Spojrzała na nie i zobaczyła, że zasiadał na nim wampir o starszym wyglądzie niż reszta. Widać było, że jest absolutnie pradawny. Jego chłodne, niebieskie oczy spoglądały na nią mądrością dziesięciu tysięcy lat. Uczucie było straszne, jakby patrzyło na nią zło wcielone.

– Tak więc – powiedział niskim, dudniącym głosem – To ona naruszyła nasze terytorium.

Głos dobiegał niczym z grobu, pozbawiony jakiegokolwiek ciepła i objął się echem w wielkiej sali.

– Kto jest przywódcą twojego klanu? – spytał.

Caitlin spojrzała na niego, namyślając się nad odpowiedzią. Nic nie przychodziło jej do głowy.

– Nie mam przywódcy – powiedziała – I nie należę do żadnego klanu. Jestem tu sama.

– Znasz karę za naruszanie granic – powiedział, lekki uśmiech wykrzywił

kącik jego ust – Jeśli jest coś gorszego od wiecznego życia – mówił dalej – to wieczne życie w bólu.

Popatrzył na nią.

– To twoja ostatnia szansa – powiedział.

Odpowiedziała spojrzeniem, nie wiedząc co powiedzieć. Kątem oka szukała wyjścia z pomieszczenia, zastanawiając się nad ucieczką. Nic nie znalazła.

– Jak sobie życzysz – powiedział, skłaniając lekko głowę.

Z boku otworzyły się drzwi i wyszedł z nich wampir zakuty w kajdany, prowadzony przez dwóch strażników. Zaciągnięto go na środek pomieszczenia, postawiono obok Caitlin. Patrzyła na nich z przerażeniem, niepewna co się zdarzy.

– Ten wampir pogwałcił zasady zawierania związków – powiedział przywódca – Jego zbrodnia nie jest tak ciężka, jednak zasłużył na karę.

Przywódca znów skinął głową, jeden ze strażników podszedł z niewielką fiolką w rękę. Podniósł ją w górę i oblał płynem skutego wampira.

Z ust wampira wyrwał się dziki wrzask. Caitlin widziała, jak skóra jego ramienia pokrywa się bąblami i czerwienieje, niczym oparzona. Wrzaski były przerażające.

– To nie jest zwykła woda święcona – powiedział przywódca, spoglądając na Caitlin – Jest wyjątkowej mocy, prosto z Watykanu. Zapewniam cię, że przepali każdą skórę, ból będzie straszliwy. Gorzej niż kwas.

Wpatrywał się długo i ciężko w Caitlin. W sali nie słyhać było ani jednego dźwięku.

– Powiedz nam skąd przychodzisz, a oszczędzimy ci strasznej śmierci.

Caitlin przełknęła głośno ślinę, nie mając ochoty przekonać się na własnej skórze, jak działa woda święcona. Wyglądało to strasznie. Chociaż, jeśli nie była prawdziwym wampirem, nic nie powinno się jej stać. Jednak na taki eksperyment nie była gotowa.

Po raz kolejny szarpnęła łańcuchy, jednak znów nic to nie dało.

Serce kołatało jej w piersi, na czoło wystąpił pot. Co miałyby im powiedzieć?

Popatrzył na nią oceniająco.

– Jesteś odważna. Podziwiam twoją lojalność dla klanu. Ale twój czas upłynął.

Skinął głową, dało się słyszeć skrzypienie łańcuchów. Popatrzyła w bok i ujrzała dwóch strażników unoszących wielki kocioł. Z każdym pociągnięciem, łańcuchy podnosiły go w górę o metr. Gdy był wystarczająco wysoko, kilka metrów nad podłogą, przeciągnęli go tak, że znajdował się prosto nad nią.

– Tamtego wampira oblano kilkoma kroplami wody święconej – powiedział

przywódca – Nad tobą wiszą setki litrów. Gdy spadną na twoje ciało, poczujesz najstraszliwszy ból jaki możesz sobie wyobrazić,

który nie osłabnie do końca twojego istnienia. Nadał będziesz żywa, choć niezdolna się poruszyć, bezbronna.

Pamiętaj, sama wybrałaś ten los.

Mężczyzna skinął głową, a Caitlin poczuła, że jej serce przyspiesza dziesięciokrotnie. Strażnicy przytwierdzili jej łańcuchy do kamiennej posadzki i uciekli w popłochu.

Gdy Caitlin spojrzała w górę, zobaczyła że kocioł przechyla się, a płyn zaczyna wylewać. Opuściła wzrok i zamknęła oczy.

O Boże, proszę, pomóż!

– Nie! – krzyknęła, jej krzyk poniósł się echem po sali.

Po czym obmyła ją woda.

Rozdział Dziesiąty

Woda zalewała ją całą. Trudno było jej złapać oddech czy choćby otworzyć oczy. Minęło jakieś dziesięć sekund, a całe jej ciało i ubranie przesiąkło wodą.

Caitlin mrugnęła. Przygotowała się na ból.

Ale ten nie przyszedł. Mrugnęła raz jeszcze po czym spojrzała w górę na kocioł. Chciała upewnić się, że jest już zupełnie pusty. Był. Spojrzała z powrotem na siebie. Była przemoczona, ale poza tym nic jej nie dolegało. Ani krzty bólu.

Przywódca, widząc co się stało, wstał i patrzył jak oniemiały. Był w szoku.

Tak samo Kyle. Odwrócił się i przyglądał całemu zdarzeniu z otwartymi ze zdziwienia ustami. Całe zgromadzenie, setki wampirów, wszyscy wstali. Po sali rozszedł się szmer.

Caitlin zdała sobie sprawę, że nie takiej reakcji się spodziewali. Stali teraz wszyscy jak wryci. Jakimś cudem woda nie wyrządziła jej krzywdy. Może jednak wcale nie była wampirem?

Uznała, że to może być jej jedyna szansa na ucieczkę. Kiedy oni wciąż stali w miejscu, zbyt zdziwieni by zareagować, Caitlin zebrała swoje siły i jednym ruchem zerwała łańcuchy. Ruszyła biegiem w stronę bocznych drzwi. Pędziła w nadziei, że dokądś prowadzą.

Zanim, ktokolwiek ze zgromadzonych zdołał zareagować, była już w połowie drogi.

– Bierzcie ją! – usłyszała głos przywódcy.

Usłyszała rumor setek ciał ruszających w jej kierunku. Dźwięk odbijał się od ścian i zdawał się wypełniać całe pomieszczenie. Zdała sobie sprawę, że nie biegną za nią, ale skaczą z sufitu i balkonów, pędzą za nią z rozpostartymi skrzydłami. Zniżyli lot, jak sępy zbliżające się do swojej ofiary. Przyśpieszyła i biegła, jakby od tego zależało jej życie. Biegła niemal po omacku, drogę oświetlały tylko pochodnie. W końcu, za zakrętem w oddali dostrzegła drzwi.

Były otwarte. Widziała, że zza nich wydobywa się światło. To naprawdę było wyjście. A raczej byłoby, gdyby nie ostatni stojący na drodze wampir.

Stał przed drzwiami, kompletnie blokując jej drogę. Ogromny, dobrze zbudowany, cały ubrany na czarno. Zdawał się być młodszy od pozostałych.

Wyglądał na jakieś 20 lat, a jego rysy były bardziej wyraziste. Nawet w tym pośpiechu i w obliczu śmiertelnego zagrożenia, Caitlin nie mogła nie zauważyć jak niezwykle był on przystojny. Mimo wszystko stał tam jednak, odgradzając jej jedyną drogę ucieczki.

Może udało się jej uciec tamtym, ale minąć tego wampira nie da rady.

Musiałaby wbiec prosto w niego. Tymczasem on otworzył drzwi szerzej, jakby chciał ułatwić jej wyjście. Czy próbował ją nabrać? Przyjrzała się i zobaczyła, że w ręku trzyma długą włócznię. Gdy się zbliżyła uniósł i wycelował broń prosto w nią. Była już tylko kilka metrów od drzwi i nie mogła się zatrzymać. Wampiry były tuż za nią. Skończyły by z nią, jeśli by zwolniła. Biegła zatem prosto na niego, przygotowując się na nieunikniony cios włóczni, przebijający jej ciało na wylot. To byłaby przynajmniej szybka śmierć. Gdy otworzyła oczy, zobaczyła jak wypuszcza włócznię i odruchowo się uchyliła.

Ale on mierzył dużo wyżej. Odwróciła się i zdała sobie sprawę, że on nie celował w nią, a w jednego z wampirów, który ja ścigał. Srebrne ostrze włóczni przebiło wampirovi gardło, a paskudny zgrzyt wypełnił pomieszczenie, gdy jego ciało runęło na ziemię. Caitlin patrzyła z niedowierzaniem na tego nowego wampira. Właśnie uratował jej życie. Dlaczego to zrobił?

– Uciekaj! – krzyknął.

Rozpędziła się i wybiegła przez otwarte drzwi. Gdy się odwróciła, on zrobił

to samo, po czym chwycił, przyciągnął do siebie i zamknął drzwi. Szybko sięgnął

po ogromny metalowy pręt i wstawił go w drzwi, blokując je. Zrobił kilka kroków w tył. Stał koło niej i obserwował drzwi.

Nie mogła przestać się na niego gapić, przyglądać się linii jego zuchwy, jego brązowym oczom i włosom. Uratował ją, ale dlaczego?

On jednak na nią nie patrzył. Wciąż obserwował drzwi z przerażeniem w oczach. Miał ku temu dobry powód. Nie minęła sekunda odkąd zabarykadował

drzwi, a ciała zaczęły napierać na nie z drugiej strony. Drzwi były z grubej stali, a kraty były nawet grubsze, ale to nie miało znaczenia wobec naporu ciał.

Sforsowanie drzwi było kwestią sekund.

– Szybko! – krzyknął i zanim jeszcze zdążyła zareagować, chwycił ją i ruszył

przed siebie. Ciągnął ją, zmuszając by biegła szybciej niż kiedykolwiek, szybciej nawet niż wyobrażała sobie, że jest w stanie pobiec. W mgnieniu oka przemieszczali się między jedną komnatą a kolejną, ciągle skręcając. Jedyne co od czasu do czasu napotykali na swojej drodze, to pochodnie. Nidy nie wydostała by się stąd sama.

– Co się dzieje? Gdzie my jesteśmy? – próbowała zapytać, ledwo chwytając oddech.

– Tędy – krzyknął, ciągnąc ją tym razem w innym kierunku. Za nimi rozległ się huk, a następnie dało się słyszeć szmer zbliżającego się do nich tłumu. Dotarli do krętych kamiennych schodów, wijących się wzdłuż ściany. On popędził ku nim z

maksymalną prędkością, ciągnąc ją a sobą. Zanim się obejrzała, już wdrapywali się po nich, zataczając koła i pokonując po trzy stopnie naraz. Wspinali się bardzo szybko. Kiedy zbliżali się do ich szczytu, zdawało się, że kończą się ścianą. Nad nimi był jedynie kamienny sufit. Nie było widać żadnego wyjścia. Gdzie on ją poprowadził?

On również był zdezorientowany i zły, ale wydawał się zdeterminowały.

Zrobił kilka kroków w tył i z rozpędu uderzył w sufit. To było niesamowite. Użył

swojej ponadludzkiej siły i przebił się przez ścianę. Kamienie posypały się w dół

a zza nich wydobyło się światło. Prawdziwe elektryczne światło. Co to za miejsce?

– Chodź! – krzyknął. Chwycił ją i wciągnął na górę przez sufit do dobrze oświetlonego pomieszczenia. Rozejrzała się wkoło. To wyglądało jak muzeum albo sąd. Przestronny piękny budynek. Podłogi z marmurów. Pomieszczenie było okrągłe, z kolumnami, wszystko z kamienia. Wyglądało jak budynek rządu.

– Gdzie my jesteśmy? – spytała.

Chwycił ją za rękę i ruszyli z prędkością światła. Sforsował parę stalowych drzwi. Puścił ją na chwilę i uderzył w nie z całych sił. Otworzyły się z łoskotem.

Popędziła tuż za nim. Tym razem bez wahania. Słyszała odgłos kamieni i wiedziała, że tłum jest tuż za nimi.

Byli na zewnątrz. Wreszcie. Uderzyło ją zimne, wieczorne powietrze. Była szczęśliwa, że wydostała się na powierzchnię.

Starła się zorientować, gdzie są. Wiedziała, że to na pewno Nowy Jork. Ale która część? Okolica wydawała się dziwnie znajoma. Zobaczyła ulicę i przejeżdżającą taksówkę. Odwróciła się i spojrzała na budynek, z którego właśnie wyszli. To był Ratusz. Zgromadzenie mieściło się pod Ratuszem.

Zbiegli po schodach i przebiegli przez dziedziniec. Nie zdołali specjalnie się oddalić, kiedy usłyszeli za sobą odgłos otwieranych drzwi i zbliżającego się, ścigającego ich tłum. Kierowali się wprost do ogromnej żelaznej bramy. Kiedy się zbliżyli, dwóch pilnujących jej strażników odwróciło się w ich kierunku i patrząc w kompletnym zaskoczeniu, sięgnęło po broń.

– Nie ruszać się! – krzyknęli.

Jednak zanim zdążyli cokolwiek zrobić, on chwycił ją w pól, zrobił trzy duże kroki i odbił się z całych sił. Poczwała jak unoszą się w powietrzu, pięć, może 6

metrów i lądują z gracją po drugiej stronie bramy. Od razu ruszyli biegiem.

Patrzyła na swojego wybawcę, zastanawiając się czy jego siła ma granice, dlaczego jej pomaga i dlaczego tak dobrze czuje się u jego boku.

Nie miała jednak czasu na te przemyślenia. Za plecami usłyszała dźwięki miazdzonego metalu i strzałów. Pozostałe wampiry sforsowały bramę, zapewne nie pozostawiając śladu po napotkanych na swojej drodze policjantach. Zbliźali się.

Biegli, pędząc z całych sił, ale na niewiele się to zdawało, bo tłum szybko się zbliżał. Nagle chwycił ją za rękę i pociągnął za róg w boczną uliczkę. Na jej końcu była tylko ściana.

– To ślepy zaułek! – krzyknęła. Ale on biegł dalej, ciągnąc ją za sobą. Na końcu ulicy przykucnął i jednym palcem otworzył właz do studzienki kanalizacyjnej.

Odwróciła się i zobaczyła ogromną grupę wampirów biegnących w ich stronę. Były zaledwie kilka metrów od nich.

– Uciekaj! – krzyknął i zanim zdążyła zareagować, wepchnął ją do dziury.

Chwyciła się drabiny a gdy spojrzała w górę, zobaczyła jak szykuje się do walki, a jako tarczy używa pokrywy włazu. Tłum go otoczył. Zamachnął się i słyszała jak odpycha wampira za wampirem swoją metalową osłoną. Próbował wejść za nią do otworu, ale nie był w stanie. Był otoczony. Już miała wspiąć się na górę, by mu pomóc, gdy jeden z wampirów odłączył się od grupy i wskoczył do włazu.

Zobaczył Caitlin, syknął i ruszył wprost na nią.

Zacząła zbiegać po drabinie, pokonując po dwa stopnie naraz, ale nie była wystarczająco szybka. Wampir rzucił się na nią i oboje zaczęli spadać. Lecąc, przygotowała się na upadek. Na szczęście wylądowali w wodzie. Podniosła się i zorientowała, że brodzi po pas w ściekach. Nie miała zbyt wiele czasu na myślenie, bo wampir z pluskiem wylądował tuż obok. Podniósł się jednym ruchem i uderzył ją w twarz, posyłając o kilka metrów w bok.

Upadła na plecy, a gdy spojrzała w górę, on był już gotowy do kolejnego ataku. Rzucił się jej do gardła. W porę udało się jej odwrócić i podnieść na nogi.

Był szybki. Ale ona również.

Upadł na twarz. Podniósł się i otrzepał w szale. Swoją szponiastą dłoń chciał zadać jej cios. Udało się jej uchylić, ale poczuła podmuch. Jego dłoń uderzyła w ścianę z taką siłą, że pazury utknęły w kamieniu.

Caitlin była wściekła. Czowała jak płonący szwał pulsuje w jej żyłach. Podeszła do uwięzionego wampira i wykonując zamach nogą, z

całej siły kopnęła go w brzuch. Skulił się. Chwyciła go z tyłu i uderzyła jego głową o ścianę. Była dumna z tego, że tak go załatwiła.

Nagle znowu poczuła ból i ku swemu zdziwieniu odkryła, że ponownie uderzył ją w twarz. Wampir szybko się zregenerował. Dużo szybciej niż myślała,

że to możliwe. Zanim się obejrzała, on znów na nią napierał. Wylądował na niej i przyparł do ziemi. Nie doceniła go.

Zacisnął dłoń na jej gardle i nie zamierzał puścić. Caitlin była silna, ale on był silniejszy. W jego żyłach płynęła siła sprzed wieków. Jego dłoń była zimna i wilgotna. Chciała się bronić, ale nie dawała rady. Upadła na kolana, a on ścisnął

coraz mocniej. Nim się obejrzała, pchał jej głowę pod wodę. W ostatniej chwili zdołała krzyknąć „Pomocy!” Sekundę później jej głowa była już pod wodą.

*

Caitlin poczuła fale i poruszenie w wodzie. Wiedziała, że jeszcze ktoś wylądował koło nich. Bardzo szybko traciła tlen i nie była w stanie już dłużej walczyć.

Poczuła jak silne ramiona unoszą ją i wyciągają z wody. Podskoczyła i złapała oddech, wciągając powietrze głębiej niż kiedykolwiek. Zaciągała się nim raz za razem.

– Dobrze się czujesz? – zapytał, przytrzymując ją.

Skinęła głową. Tylko na to starczyło jej sił. Spojrzała w dół i zobaczyła tego, który ją zaatakował. Jego ciało unosiło się na wodzie. Leżał głową w dół. Z jego szyi wypływała krew. Był martwy.

Spojrzała na niego. On odpowiedział jej spojrzeniem swoich brązowych oczu.

Uratował ją. Kolejny raz.

– Musimy iść – powiedział, chwytając ją i prowadząc przez sięgająca pasa wodę – Właz długo nie wytrzyma.

Jakby na zawołanie, w tej samej chwili ktoś wyrwał właz. Ruszyli biegiem, mijając tunel za tunelem, słysząc za sobą dźwięki rozchlapywanej wody. Skręcił

ostro. Woda sięgała teraz zaledwie kostek. Przyśpieszyli. Weszli do kolejnego tunelu i znaleźli się w środku głównego węzła Nowego

Jorku. Olbrzymie rury wypuszczały chmury pary. Gorąc był nie do zniesienia. Przeszli kolejnym tunelem, po czym niespodziewanie chwycił ją i wsadził sobie na plecy, tak by rękoma objęła go za klatkę piersiową. Sam zaczął wspinać się po drabinie, przeskakując po trzy stopnie. Kiedy dotarli na górę, uderzył we właz, tak że ten wyleciał w powietrze. Byli znów na powierzchni, na ulicach Nowego Jorku. Gdzie dokładnie, nie miała pojęcia.

– Trzymaj się mocno – powiedział, a ona zacieśniła uścisk na jego klatce, chwytając dłonią za dłoń. Zaczął biec, bieg coraz szybciej, przeszedł w sprint, a potem jeszcze przyśpieszył. Pamiętała, jak kiedyś jechała na motocyklu, 60 mil na

godzinę, a wiatr rozwiewał jej włosy. To było podobne uczucie, z tym że poruszali się szybciej. Musieli pędzić 80, 100, a nawet 120 na godzinę i ciągle się rozpędzali. Budynek, samochody, ludzie – wszystko jak za mgłą. Zanim się spostrzegła, unieśli się w powietrze.

Lecieli. Rozpostarł swoje wielkie, czarne skrzydła. Unosili się nad ludźmi nad samochodami. Spojrzała w dół i zobaczyła, że przelatują nad 14 Ulicą, chwilę później byli już nad 34 Aleją, chwilę po tym nad Central Parkiem. Ten widok zapierał dech w piersiach.

On obejrzał się za siebie, ona zrobiła to samo. Niewiele widziała, ale była pewna, że nikt ich już nie ściga. Zwolnił trochę, zanurkował i obniżył lot. Lecieli teraz nad samymi drzewami. Nigdy nie widziała Central Parku z takiej perspektywy. Jego oświetlone alejki, czubki drzew tuż pod nią. Miała wrażenie, że wystarczy, że wyciągnie rękę, a będzie mogła ich dotknąć. Miała uczucie, że to miejsce nie będzie już nigdy wyglądać tak pięknie, jak w tej chwili.

Objęła jeszcze mocniej jego pierś, poczuła jego ciepło. Czowała się przy nim bezpieczna. W całym tym szaleństwie, w jego ramionach czuła, jakby wszystko znów było normalnie. Mogłaby tak lecieć w nieskończoność. Zamknęła oczy.

lekka bryza pieściła jej twarz. Pragnęła by ta noc nie miała końca.

Rozdział Jedenasty

Caitlin poczuła, że zwalniamy i zaczynają obniżać lot. Otworzyła oczy. Nie poznawała budynków pod nimi. Musieli sporo oddalić się od centrum. Może był

to Bronx.

Kiedy schodzili niżej, przelecieli nad niewielkim parkiem, a jej wydało się, że widzi zamek. Kiedy się zbliżyli, upewniła się, że on

faktycznie tam stoi. Ale skąd wzięłoby się zamek w Nowym Jorku?

Zastanowiła się i przypomniała sobie, że już widziała tę budowlę. Na jakiejś pocztówce. Tak, mieściło się tam jakieś muzeum. Gdy schodzili do lądowania, przelatując nad niskimi średniowiecznymi murami, przypomniała sobie na co patrzy. To było Cloisters. Niewielkie muzeum. Budynek został przeniesiony kawałek po kawałku z Europy. Miał kilkaset lat. Tylko po co on ją tu zabrał?

Ominęli zewnętrzne mury i skierowali się na duży kamienny taras z widokiem na rzekę Hudson. Wylądowali w zupełnej ciemności, a mimo to jego stopy z gracją dotknęły ziemi. Wtedy zdjął ją z siebie delikatnie. Stała tam patrząc na niego. Przyglądała mu się uważnie, jakby chciała się upewnić, że on nadal tam jest, że jest prawdziwy i że nie odleci. Była też ciekawa czy faktycznie jest aż tak przystojny, jak wydawało się jej na pierwszy rzut oka. Był. Nawet bardziej.

Patrzył na nią tymi swoimi wielkimi, brązowymi oczami i poczuła, że nogi się pod nią uginają.

Miała do niego tyle pytań, ale zupełnie nie wiedziała od czego zacząć. Kim jest? Jakim cudem może latać? Czy jest wampirem? Dlaczego ryzykował życiem by ją uratować? Dlaczego przyprowadził ją właśnie tu? A może wszystko co właśnie widziała, to wytwór jej umysłu, jakaś szalona halucynacja? Czy jednak wampiry istniały i to tu w samym sercu Nowego Jorku? Czy była jedną z nich?

Otworzyła usta, ale jedyne o co była w stanie zapytać to:

– Gdzie my jesteśmy?

Wiedziała, że to głupie pytanie już w chwili, gdy je wypowiedziała.

Nienawidziła siebie za to, że je zadała, że nie zapytała o coś bardziej znaczącego.

Ale stojąc na zimnie, w tę marcową noc, z odrętwiałą twarzą, na więcej nie było jej stać. Nie odpowiedział. Tylko patrzył na nią, a to spojrzenie zdawało się przebijać do jej duszy. Zupełnie jakby mógł przejrzeć ją na wylot. Wyglądało na to, że zastanawia się, jak dużo może jej powiedzieć.

Wreszcie, a zdawało się jej, że czeka na to wieczność, otworzył usta by odpowiedzieć.

– Caleb – zawołał ktoś. Odwrócili się oboje.

Grupa mężczyzn – wampirów? – zbliżała się do nich. Caleb odwrócił się w ich stronę.

Caleb. Podobało jej się to imię.

– Nie otrzymaliśmy zgody na twoje przybycie – powiedział śmiertelnie poważnie jeden z mężczyzn.

– Przybywam bez zapowiedzi – stanowczo odpowiedział Caleb.

– Zatem będziemy musieli cię aresztować – powiedział, dając znak swoim ludziom, którzy od razu ich okrążyli – Znasz zasady.

Caleb niewzruszony kiwnął głową. Mężczyzna stojący pośrodku przyglądał

się Caitlin. Widziała dezaprobatę w jego oczach.

– Wiesz, że nie możemy jej wypuścić – powiedział mężczyzna do Caleba

– Ale wypuście – powiedział stanowczo Caleb i spojrzał na niego z tą samą determinacją. To była próba sił.

Mężczyzna stał tak przez chwilę i widać było, że nie jest pewien co powinien zrobić. Chwilę trwali w tej pełnej napięcia ciszy.

– Niech i tak będzie – odrzekł w końcu odwracając się gwałtownie i wskazując im drogę – To twój pogrzeb.

Caleb podążył za mężczyzną, a Caitlin, nie wiedząc co innego mogłaby zrobić, ruszyła wraz z nimi. Mężczyzna otworzył wielkie, średniowieczne drzwi, ciągnąc za mosiężne koło. Odsunął się na bok, wskazując Calebowi, by wszedł pierwszy.

Po drugiej stronie drzwi na baczność stało dwóch kolejnych mężczyzn w czerni.

Caleb wziął Caitlin za rękę i przeprowadził ją przez próg.

Przechodząc przez te ogromne, kamienne wrota, Caitlin czuła się jakby przenosiła się w czasie.

– Chyba nie musimy płacić za wstęp – powiedziała do Caleba z uśmiechem.

Popatrzył na nią mrugając. Zajął mu chwilę, by zrozumieć, że to był żart.

Uśmiechnął się. A uśmiech miał naprawdę piękny.

Przypomniał jej Jonaha. Poczowała się zdezorientowana. Nie często zdarzało się jej obdarzyć uczuciem jakiegoś chłopca. Tym bardziej nie dwóch jednego dnia.

Nadal myślała o Jonahu, ale z Calebem to była zupełnie inna historia. Jonah był

chłopcem. Caleb, mimo że wyglądał młodo, zdecydowanie był już mężczyzną. A może był... czymś innym? Było w nim coś, czego nie mogła zrozumieć, coś co sprawiało, że nie mogła oderwać od niego wzroku. Czowała, że nie chce odstąpić go na krok. Lubiła Jonaha, ale Caleba potrzebowała. Jego bliskość była jakby wszechogarniająca.

Uśmiech zniknął z jego twarzy równie szybko, jak się pojawił. Był wyraźnie zaniepokojony.

– Jeśli rozmowa nie pójdzie tak, jak bym sobie tego życzył, cena jaką będziemy musieli zapłacić, będzie znacznie wyższa niż opłata za wstęp –

odpowiedział.

Przeprowadził ją przez kolejne kamienne wejście, prosto na mały średniowieczny dziedziniec. Idealnie symetryczny, z czterech stron otoczony łukami i kolumnami, wyglądał pięknie w świetle księżyca. Nie mogła uwierzyć, że takie miejsce znajduje się w Nowym Jorku. Czowała się jak na europejskiej prowincji. Przeszli przez dziedziniec oraz długi kamienny korytarz. Odgłos ich kroków odbijał się echem. Szli pod obstawą kilku kolejnych strażników.

Zastanawiała się czy są wampirami. A jeśli tak, to dlaczego zachowują się tak cywilizowanie. Dlaczego żaden nie atakuje ani jej, ani Caleba. Przeszli kolejny kamienny korytarz, kolejne średniowieczne drzwi i zatrzymali się nagle. Na ich drodze stał ubrany na czarno mężczyzna, który do złudzenia przypominał Caleba.

Na ramionach nosił obszerną czerwoną szatę. Otaczała go grupka sług. Sprawiał

wrażenie kogoś, kto ma władzę.

– Caleb – powiedział ściszym głosem, jakby zdziwiony tym, że go widzi.

Caleb stał spokojnie patrząc na mężczyznę.

– Samuel – odpowiedział stanowczo.

Mężczyzna patrzył a niego kręcąc głową.

– Nawet nie uściskasz swojego odzyskanego po latach brata? – zapytał Caleb.

– Wiesz, że sytuacja jest poważna – odpowiedział Samuel – złamałeś wiele zasad zjawiając się tu dzisiaj. Szczególnie sprowadzając tu ją.

Mężczyzna nawet na nią nie spojrział. Caitlin poczuła się urażona.

– Nie miałem innego wyjścia – odpowiedział Caleb – Nadszedł ten dzień.

Mamy wojnę.

Wampiry stojące za Samuelem zaczęły między sobą coś szeptać. W ich ślady poszła ciągle powiększająca się grupa, formująca się za nimi. Odwróciła się i zorientowała, że są otoczeni przez co najmniej tuzin wampirów. Zaczynała czuć się jak w pułapce. Grupa wampirów była znacznie liczniejsza, nie było drogi odwrotu. Nie wiedziała co zrobił Caleb, ale miała nadzieję, że jest w stanie ich jakoś z tego wypłatać.

Samuel uniósł ręce i szmery ucichły.

– Co więcej, ta kobieta – ciągnął dalej Caleb, wskazując głową na Caitlin –

jest Wybrańcem.

Kobieta. Nikt wcześniej jej tak nie nazwał. Podobało jej się to. Ale czegoś tu nie rozumiała. Wybrańcem? I jeszcze ten nacisk jaki położył na to słowo, jakby

mówił o jakimś Mesjaszu. Zaczęła zastanawiać się czy wszyscy wkoło nie oszaleli.

Rumor podniósł się ponownie i wszyscy obecni skierowali wzrok prosto na nią.

– Muszę stanąć przed Radą – powiedział Caleb – I muszę zabrać ją ze sobą.

Samuel pokręcił głową.

– Wiesz, że cie nie powstrzymam. Mogę jedynie doradzić. A radziłbym ci żebyś wrócił w tej chwili na swój posterunek i oczekiwał wezwania od Rady.

– Obawiam się, że to niemożliwe – odrzekł Caleb.

– Zawsze robiłeś, co chciałeś – powiedział Samuel, po czym odsunął się na bok, wskazując, że droga wolna – Twojej żonie się to nie spodoba – dodał.

Żona? Pomyślała Caitlin, a zimny dreszcz przeszył jej ciało. Jak to możliwe, że nagle owładnęło nią uczucie takiej absurdalnej zazdrości? Jak to możliwe, że tak szybko obdarzyła Caleba tak głębokim uczuciem? Dlaczego stawała się przy nim taka zaborcza?

Poczuła, że się rumieni. Zależało jej na nim. To nie miało zupełnie sensu, ale zależało jej. Jak mógł mi nie powiedzieć...

– Nie nazywaj jej tak – odpowiedział Caleb, a jego policzki też zapłonęły –

Dobrze wiesz, że...

– Wie, że co? – w odpowiedzi odezwał się kobiecy głos.

Wszyscy odwrócili się, aby zobaczyć kroczącą w ich stronę korytarzem kobietę. Ona również była ubrana na czarno, piękne długie rude włosy spływały jej na ramiona, a jej ogromne zielone oczy lśniły. Była wysoka i niezwykle piękna, jakby dla jej urody ktoś zatrzymał czas.

Caitlin czuła się w jej obecności upokorzona. Jakby się skurczyła. Oto była kobieta. Czy może raczej wampirzyca? Czymkolwiek była, Caitlin nie mogła się z nią równać. Czuła się pokonana i był gotowa odstąpić Caleba tej kobiecie, kimkolwiek była.

– Co takiego wie? – kobieta spytała ponownie wpatrując się w Caleba lodowatym wzrokiem.

Gdy była zaledwie metr od nich spojrzała na Caitlin, a jej wargi skrzywiły się w paskudnym grymasie. Caitlin nigdy nie spotkała się z tym, by ktoś patrzył na nią z taką nienawiścią.

– Sero – powiedział Caleb spokojnie – Nie jesteśmy już małżeństwem od ponad 700 lat.

– Może tobie się tak zdaje – odwarknęła.

Przyśpieszyła i zaczęła krążyć wokół Caitlin i Caleba. Zmierzyła ją wzrokiem od góry do dołu. Patrzyła jak na robaka.

– Jak mogłeś ją tu sprowadzić? – splunęła – Naprawdę. Myślałam, że jesteś rozsądniejszy.

– Ona jest Wybrańcem – stanowczo odpowiedział Caleb.

W przeciwieństwie do reszty zebranych, kobieta nie wydała się zdziwiona.

Skomentowała to jedynie krótkim szyderczym śmiechem.

– To śmieszne – powiedziała – sprowadziłeś na nas wojnę. I to w imię czego.

Zwykłego zauroczenia jakimś człowiekiem? – w głosie słychać było rosnący gniew. Z każdym jej słowem, tłum stojący za nią stawał się bardziej wzburzony jakby przejmował jej złość.

– Tak naprawdę – Sera kontynuowała – Mamy wszelkie prawo rozerwać ją na strzępy.

Z tłumu dało się słyszeć pomruk aprobaty. Twarz Caleba zapłonęła gniewem.

– Najpierw musielibyście pokonać mnie – odpowiedział, wpatrując się w nią z porównywalną determinacją.

Caitlin poczuła, jak ciepło rozlewa się po jej ciele. Caleb był gotów oddać za nią życie. Znów. Może jednak i jemu na niej zależało.

Samuel wkroczył między nich i uniósł ręce. Tłum zamilkł.

– Caleb poprosił o widzenie z Radą – powiedział – Chociaż tyle jesteśmy mu winni. Niech przedstawi swoje racje. Pozwólmy Radzie zdecydować.

– Dlaczego mamy się na to zgodzić? – prychnęła Sera.

– Ponieważ tak zdecydowałem – odrzekł Samuel stanowczym tonem – A to ja tu wydaję polecenia, nie ty, Sero. – Obdarzył ją długim surowym spojrzeniem. Aż odstąpiła.

Samuel odsunął się i wskazał w kierunku kamiennych schodów. Caleb wziął

Caitlin za rękę i poprowadził przed siebie. Schodzili po szerokich kamiennych schodach, prosto w ciemność.

Za nimi ostry śmiech przeciął ciszę nocy:

– I krzyżyk na drogę!

Rozdział Dwunasty

Odgłos ich kroków odbijał się echem po kamiennej klatce schodowej, gdy schodzili w dół. Oświetlenie było liche. Caitlin wślizgnęła rękę pod ramię Caleba. Miała nadzieję, że pozwoli jej na to. Zrobił więcej. Ujął jej rękę i przycisnął mocniej do siebie. Znów poczuła, że wszystko jest dobrze. Czowała, że tak długo jak ma go przy sobie, może zstępować nawet w najciemniejszą otchłań.

Myśli kłębiły się jej po głowie. Czym jest ta Rada? Dlaczego Caleb uparł się, by zabrać ją ze sobą? Dlaczego ona czuje taką potrzebę bycia blisko niego?

Przecież mogła łatwo się sprzeciwić, powiedzieć, żeby poszedł sam, zaczekać na niego na górze. Ale ona nie chciała czekać na górze. Chciała być przy nim. Nie mogła wyobrazić sobie, że miałyby być w tej chwili gdziekolwiek indziej.

Cała ta sytuacja zdawała się niemożliwa. Każdy zwrot akcji, zamiast odpowiedzi, przynosił nowe pytania. Kim byli ci ludzie na górze? Czy to naprawdę wampiry? A jeśli, to co one robię tu, w Cloisters?

Za rogiem trafili do wielkiego pomieszczenia, którego piękno zaparło jej dech w piersiach. To było niesamowite. Jakby naprawdę znalazła się w średniowiecznym zamku. Strzeliste sufity wykute z kamienia. Po prawej, na podwyższeniach stało kilka sarkofagów. Na ich wiekach wykuto średniowieczne zdobienia. Niektóre z nich były otwarte. Czy to możliwe, że naprawdę w nich spali?

Próbowała sobie przypomnieć wszystko, co kiedykolwiek słyszała o wampirach. Spanie w trumnach. Nocne życie. Ponadludzka siła i szybkość.

Światło dnia sprawia im ból. Wszystko by się zgadzało. Sama czasem czuła w słońcu ból, ale nie był on nie do zniesienia. Woda święcona nie robiła na niej wrażenia. Co więcej, miejsce w którym się znajdowali, Cloisters, było pełne krzyży: wielkie krzyże wisiały niemal wszędzie, a nie zdawały się one mieć jakiegokolwiek wpływu na obecne tu wampiry. Co więcej, wszystko wskazywało na to, że one tu mieszkały. Chciała zapytać o to wszystko Caleba i o mnóstwo innych rzeczy, ale znów nie wiedziała od czego zacząć. Skupiła się na ostatniej kwestii.

– Krzyże – zapytała, wskazując ruchem głowy na jeden z nich – nie przeszkadzają ci?

Spojrzał na nią nie rozumiejąc, o co pyta. Wyglądał na zatopionego w myślach.

– Czy krzyże nie robią wampirom krzywdy? – sprecyzowała pytanie.

Przez jego twarz przebiegł błysk zrozumienia.

– Nie wszystkim – odpowiedział – Nasz gatunek jest bardzo różnorodny. To jak u ludzi. W obrębie całego gatunku, jest wiele ras, które również dzielą się na oddzielne zgromadzenia czy terytoria. To złożona kwestia. Krzyże nie szkodzą dobrym wampirom.

– Dobrym? – zapytała.

– Tak jak wśród ludzi i u nas świat dzieli się na siły dobra i siły zła. Nie jesteśmy wszyscy tacy sami.

Na tym skończył. Jak zwykle, ta odpowiedź zrodziła tylko kolejne pytania, ale ugryzła się w język. Nie chciała go więcej wypytywać. Nie teraz.

Mimo, że pomieszczenia były wysokie, drzwi były wyjątkowo małe.

Łukowate drewniane drzwi były otwarte. Przeszli przez nie bez zatrzymania, pochylając się. Zaraz za drzwiami napotkali kolejne niezwykle wysokie pomieszczenie. Spojrzała w górę i zobaczyła, że cały sufit pokrywają witraże. Po prawej zobaczyła ambonę, a przed nią dziesiątki małych drewnianych krzesel.

Wystrój był surowy, ale piękny. Naprawdę wyglądało to jak wnętrze średniowiecznego klasztoru.

Wokół nie widziała żadnych oznak życia, nie słyszała żadnego ruchu. Nie słyszała absolutnie nic. Zastanawiała się, gdzie są wszyscy.

Weszli do kolejnego pomieszczenia, z podłoga pochyloną lekko w dół. Caitlin aż westchnęła. Ten mały pokój był po brzegi wypełniony skarbami. Znajdowali się w funkcjonującym na co dzień muzeum i wszystko było za szkłem. Tuż przed nią, oświetlone ostrym halogenowym światłem, leżały drogocenne starożytne skarby, warte pewnie setki milionów dolarów. Złote krzyże, wielkie, srebrne kielichy, średniowieczne rękopisy.

Szła za Calebem przez pomieszczenie aż do wysokiej, szklanej gabloty, przy której się zatrzymał. W środku znajdowała się piękna, wykonana z kości słoniowej, długa na kilka stóp laska. Caleb przyglądał się jej przez szybę.

Trwało to dłuższą chwilę.

– Co to? – zapytała w końcu.

On jeszcze chwilę patrzył i milczał.

– To stary przyjaciel – odpowiedział w końcu.

I tyle. Więcej nie zamierzał powiedzieć. Zastanawiała się, jaką wspólną historię może mieć z tym przedmiotem i czy laska posiada jakąś moc. Na tabliczce przy gablocie widniał napis: wczesny XIV wiek.

– Nazywają to Pastorałem. To laska biskupia. To jednocześnie różga i laska.

Różga do wymierzania kar, a laska do prowadzenia wiernych. To symbol naszego kościoła. Może błogosławić lub przeklinać. To jej strzeżemy, a ona strzeże nas.

Ich kościół? Tego strzegą?

Zanim zdążyła zadać kolejne pytania, wziął ją za rękę i przeprowadził przez kolejne drzwi. Kolejne przejście było ogrodzone aksamitną liną. Odpiął ją dla niej, by mogła przejść i zamknął z powrotem za nimi. Poprowadził ją do małych drewnianych schodków. Prowadziły w dół, jakby do wnętrza podłogi. Rozejrzała się ze zdziwieniem. Caleb przykleknął i otworzył ukryty w podłodze właz.

Schody ciągnęły się dalej i dalej w dół.

Caleb spojrzał jej prosto w oczy.

– Jesteś gotowa?

Chciała odpowiedzieć nie, ale zamiast tego chwyciła go za rękę.

*

Te schody były wąskie i strome. Prowadziły w prawdziwą ciemność. Wiły się i wiły, coraz głębiej i głębiej, aż w oddali zobaczyła światło i zaczęła słyszeć ruch. Gdy skręcili, znaleźli się w kolejnym pomieszczeniu. Było ono ogromne i dobrze oświetlone. Wszędzie paliły się pochodnie. Pomieszczenie było identyczne jak te piętro wyżej. Wysokie, kamienne średniowieczne sufity, łuki, wymyślne wzory. Na ścianach wisiały gobeliny, a ogromna przestrzeń wypełniona była średniowiecznymi meblami.

Tu też było pełno ludzi. To znaczy wampirów. Wszyscy byli ubrani na czarno.

Zdawali się swobodnie poruszać w tej przestrzeni. Niektórzy siedzieli tu czy tam, inni rozmawiali. W poprzednim zgromadzeniu, pod Ratuszem, wyczuwała zło, ciemność, czuła się zagrożona. Tutaj czuła się dziwnie spokojna.

Caleb poprowadził ją przed siebie, przez pokój. Gdy szli, ruch powoli ustępował, a jego miejsce zajmowała cisza. Czuła, że wszyscy na nich patrzą.

Gdy dotarli do przeciwległego końca pomieszczenia, Caleb podszedł do wielkiego wampira, wyższego i potężniejszego od niego samego. Mężczyzna spojrzał na niego, ale jego twarz nie miała żadnego wyrazu.

– Potrzebuję widzenia – Caleb powiedział wprost.

Wampir odwrócił się powoli i wszedł przez drzwi znajdujące się za nim, zamykając je szczelnie za sobą. Caleb i Caitlin stali tak, czekając. Obejrzała się za siebie i rozejrzała wokół. Byli tam. Setki

wampirów. Wszystkie patrzyły wprost na nich. Żaden jednak nawet nie drgnął i nie próbował się zbliżyć.

Drzwi otworzyły się. Wampir kiwnął na nich. Weszli.

Pomieszczenie, w którym się znaleźli, było mniejsze i słabo oświetlone. Na drugim końcu sali paliły się dwie pochodnie. Pokój był prawie pusty. Stał tam

jedynie podłużny stół, za którym siedziało siedem wampirów o ponurych spojrzeniach. Wszystko to wyglądało trochę jak w sądzie. Z jakichś powodów te wampiry wyglądały na dużo starsze. Chyba sprawiała to surowość ich wyrazów twarzy. Wyglądali zupełnie jak sędziowie.

– Obrady otwarte! – krzyknął wielki wampir uderzając laską o podłogę. Po czym szybko wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Zostali sami z siódmką wampirów siedzących za stołem.

Stanął niepewnie koło Caleba, nie wiedząc jak się zachować. Niezręczna cisza trwała, a ława sędziowska przyglądała się im uważnie. Sprawiali wrażenie, jakby byli w stanie przejrzeć ich dusze.

– Caleb – chropowatym głosem zwrócił się do nich wampir siedzący pośrodku – Opuściłeś posterunek.

– Nic podobnego, Panie – odpowiedział – Stałem na posterunku wiernie przez ostatnie 200 lat, ale dziś zostałem zmuszony by podjąć inne działania.

– Podjąłeś działania bez naszego rozkazu – odpowiedział – Naraziłeś nas wszystkich.

– Moim obowiązkiem było uprzedzić zgromadzenie o nadchodzącej wojnie –

powiedział Caleb – Uważam, że ten czas właśnie nastał.

Dobiegło ich westchnienie od strony Rady, po czym zapadła cisza.

– A czemuż tak uważasz?

– Oblali ją święconą wodą, a ona nie spaliła jej skóry. Doktryna mówi, że nadejdzie dzień, kiedy przybędzie Wybraniec, który będzie odporny na znane nam bronie, a jego przybycie będzie zwiastować wojnę.

Westchnienie znów rozniosło się po sali. Sędziowie patrzyli na Caitlin, oceniając ją. Niektórzy zaczęli dyskutować między sobą, aż wampir siedzący w środku uderzył w stół otwartą dłonią.

– Cisza! – krzyknął.

Stopniowo szepty ucichły.

– A więc zaryzykowałeś istnienie nas wszystkich, by uratować jednego człowieka? – zapytał.

– Ocaliłem ją, by ocalić nas wszystkich – odpowiedział – Jeśli ona jest Wybrańcem, bez niej jesteśmy zgubieni.

Caitlin odwróciła głowę. Nie wiedziała, co o tym myśleć.
Wybraniec?

Doktryna? O czym on mówił? Zastanawiała się, czy z kimś jej nie pomylił, z kimś dużo ważniejszym.

Jej serce zamarło. Ale nie z powodu sposobu, w jaki patrzyła na nią Rada, a na myśl o tym, że Caleb wcale o nią nie dbał. Ocalił ją jedynie dla własnego

dobra. Bała się, że jego uczucie do niej zniknie, jak tylko dowie się prawdy, że ona jest tylko zwykłą dziewczyną, której przez ostatnie dni przydarzały się niezwykle rzeczy. I porzuci ją. Tak jak wszyscy faceci w jej życiu.

Jakby na potwierdzenie jej myśli, sędzia ze środka ławy pokręcił głową, patrząc na Caleba z politowaniem.

– Popeliłeś poważny błąd – powiedział – Nie widzisz tego, ale to ty rozpocząłeś właśnie wojnę. Twoje opuszczenie posterunku zaalarmowało ich o naszej obecności. W dodatku ona nie jest tym, za kogo ją bierzesz.

– Zatem jak wyjaśnić... – zaczął Caleb.

Tym razem przemówił inny członek Rady.

– Wiele stuleci temu zdarzyła się podobna sytuacja. Pojawił się wampir odporny na broń. Ludzie myśleli, że nadszedł Mesjasz. Ale on nim nie był. Był

tylko pół-krwi.

– Pół-krwi? – zapytał Caleb. Nagle zdawał się nie być już tak pewny swego.

– Wampir z urodzenia – kontynuował – Taki, który nigdy nie został przemieniony. Są odporni na nasze bronie, ale nie na zwykłą broń. To nie czyni ich jednymi z nas. Nie są też nieśmiertelni. Pokażę ci – powiedział, po czym niespodziewanie zwrócił się do Caitlin – Powiedz mi, młódko, kto cię przemienił?

Caitlin nie miała pojęcia o czym on mówi. Nie rozumiała zadanego jej pytania. Po raz kolejny tej nocy zastanawiała się, jaką powinna w tej sytuacji dać odpowiedź. Zawahała się, czując że cokolwiek powie, odbije się to nie tylko na niej, ale i na Calebie. Dla niego bardzo chciała odpowiedzieć właściwie, ale nie wiedziała jak.

– Przepraszam – odpowiedziała – Ale nie wiem o co mnie Pan pyta. Nigdy nie byłam przemieniona. Nawet nie wiem, co to znaczy.

Inny członek Rady pochylił się w jej stronę:

– A kto jest twoim ojcem? – zapytał

Ze wszystkich pytań na świecie, dlaczego musiał zadać jej akurat to? Pytanie, które sama zadaje sobie przez całe życie? Kim on jest? Dlaczego nigdy go nie spotkała? Dlaczego ją zostawił? Niczego w życiu nie chciała bardziej, niż poznać odpowiedź na to pytanie. No a teraz, na zawołanie, nie była w stanie im jej podać.

– Nie wiem – odpowiedziała w końcu.

Członek Rady odchylił się do tyłu, jakby na znak triumfu.

– Widzisz? – powiedział – Pół-krwi nie zostali przemienieni, nie znają swoich rodziców. Pomyliłeś się, Caleb. Popełniłeś śmiertelny błąd.

– Ale według doktryny, to właśnie pół-krwi będzie Mesjaszem i poprowadzi nas do boju – odciął się Caleb.

– Doktryna mówi, że pół-krwi sprowadzi Mesjasza, a nie, że sam nim będzie.

– To już tylko kwestia interpretacji słów – odpowiedział Caleb – Mówię wam, że wojna się zaczęła i to ona nas poprowadzi do miecza. Czas nas goni.

Potrzebujemy jej. Jest naszą ostatnią nadzieją.

– Czcze bajeczki – odezwał się inny z członków Rady – Miecz, o którym tak rozprawiasz nie istnieje, a nawet gdyby istniał, to na pewno nie prowadziły nas doń jakiś pół-krwi.

– Jeśli my tego nie zrobimy, skorzystają inni. Pojmą ją i znajdą go a potem wykorzystają przeciwko nam.

– Przyprawiając ją tutaj, dopuściłeś się poważnego naruszenia – inny z członków Rady zarzucił Calebowi

– Ale ja... – zaczął Caleb.

– DOSYĆ! – krzyknął przewodniczący Rady.

Zapadła cisza.

– Caleb, świadomie złamałeś kilka praw obowiązujących w naszym zgromadzeniu. Opuściłeś posterunek. Ujawniłeś swoją misję. Sprowadziłeś na nas wojnę. Naraziłeś nas wszystkich dla człowieka. Nawet nie dla człowieka, a dla pół-krwi. Co gorsza sprowadziłeś ją tutaj, do naszego gniazda, tym samym narażając nas wszystkich na niebezpieczeństwo. Skazujemy cię na 50 lat więzienia. Nie opuścisz tych murów. Za to tą pół-krwi, każemy wysłać poza te mury jak najszybciej.

– Teraz odejdz.

Rozdział Trzynasty

Caitlin i Caleb stali razem na dużym otwartym tarasie w Cloisters, zapatrzeni w noc. W oddali, pomiędzy łysymi marcowymi drzewami, widziała rzekę Hudson. Mogła dostrzec nawet maleńkie światełka samochodów przejeżdżających mostem. Panowała absolutna cisza.

– Musisz odpowiedzieć mi na kilka pytań, Caleb – powiedziała spokojnie, po dłuższej chwili milczenia.

– Wiem. – odpowiedział.

– Co ja tu robię? Kim według ciebie jestem? – zapytała. Potrzebowała chwili by zebrać się na odwagę i zadać najważniejsze pytanie. – Dlaczego mnie uratowałeś?

Caleb przez dłuższą chwilę wpatrywał się w przestrzeń. Nie wiedziała, o czym myśli ani czy kiedykolwiek jej odpowie.

Wreszcie odwrócił się w jej stronę i spojrzał jej prosto w oczy. Jego spojrzenie było powalające. Nie mogłaby oderwać od niego oczu, nawet gdyby chciała.

– Jestem wampirem – powiedział wprost – Należę do Białego Zgromadzenia.

Żyję od ponad 3000 lat a 800 z nich przeżyłem ze zgromadzeniem.

– Ale co ja tu robię?

– Wampirze rasy i zgromadzenia są w stanie permanentnej wojny. Jesteśmy bardzo zaborczy. Ty, niestety, wdepnęłaś w sam środek tego zamieszania.

– Co masz na myśli? – zapytała – Jak to się stało?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Nie pamiętasz?

Odpowiedziała tępym spojrzeniem.

– Zabiłaś. Od tego wszystko się zaczęło.

– Zabiłam?

Powoli pokręcił głową.

– A więc faktycznie nie pamiętasz. To typowe. Tak bywa przy pierwszych ofiarach – spojrzał jej prosto w oczy – Zabiłaś wczoraj kogoś. Człowieka.

Karmiłaś się na nim. W Carnegie Hall.

Caitlin poczuła jak świat wokół niej wiruje. Trudno było jej uwierzyć, że mogłaby kogoś skrzywdzić, ale gdzieś głęboko w środku, coś mówiło jej, że to prawda. Bała się zapytać kto to był. Czy to mógł być Jonah?

Jakby czytając w jej myślach, Caleb dodał: – Wokalistę.

Caitlin trudno było przyjąć to wszystko naraz. To wydawało się takie nierealne. Czuła jakby właśnie naznaczono ją czarną skazą, której nigdy już nie zmyje. Czuła się okropnie. Nie panowała nad sobą.

– Dlaczego to zrobiłam? – zapytała.

– Musisz się żywić – odpowiedział – Ale jeśli pytasz o to, dlaczego zrobiłaś to tam i w tym momencie, tego nikt nie wie. Ale tak właśnie zaczęłaś wojnę.

Byłaś na terenie innego zgromadzenia. Bardzo potężnego.

– Więc po prostu znalazłam się w niewłaściwym miejscu, w niewłaściwym czasie?

Skinął głową.

– Sam nie wiem. Myślę, że to coś więcej.

– Co masz na myśli?

– Możliwe, że miałaś się tam znaleźć. Że takie było twoje przeznaczenie.

Zamyśliła się. Myślała dłuższą chwilę, bojąc się zadać kolejne pytanie. W

końcu zdobyła się na odwagę.

– Czy to znaczy, że jestem wampirem?

Odwrócił wzrok.

– Nie wiem – odpowiedział po chwili.

Odwrócił się znów, by spojrzeć na nią.

– Nie jesteś prawdziwym wampirem, ale nie jesteś też człowiekiem. Jesteś czymś pomiędzy.

– Jestem pół-krwi? – zapytała.

– Tak oni by to nazwali. Ja nie jestem pewien.

– A co to dokładnie jest?

– To wampir, który urodził się wampirem. Nasze prawo, nasza doktryna zakazuje wampirom mieszać się z ludźmi. Jednak zdarza się, że nieposłuszny wampir to robi. Jeśli z takiego związku urodzi się dziecko, będzie ono półkrwi.

Nie będzie ani człowiekiem ani wampirem. Moja rasa będzie nim gardzić. Karą za splodzenia potomstwa z człowiekiem jest śmierć. Dziecko jest natomiast traktowane jak wyrzutek.

– Ale mówiłeś, że wasz Mesjasz będzie pół-krwi. Jak zatem możecie gardzić kimś, kto ma być waszym zbawcą?

– To właśnie paradoks naszej religii – odpowiedział.

– Powiedz mi więcej – nalegała – Czym różnią się pół-krwi?

– Prawdziwe wampiry karmią się ludźmi od momentu przemiany. Półkrwi przeważnie nie robią tego do pewnego wieku.

Bała się zadać to pytanie.

– Kiedy zaczynają?

– Gdy skończą 18 lat.

Caitlin zastanowiła się chwilę. To zaczynało układać się w logiczną całość.

Niedawno skończyła 18 lat i faktycznie jej łaknienie zaczęło się mniej więcej w tym samym czasie.

– Pół-krwi są śmiertelni – kontynuował Caleb – Mogą umrzeć, tak jak ludzie.

Natomiast my nie. Aby stać się prawdziwym wampirem trzeba zostać przemienionym przez prawdziwego wampira, który będzie karmił się nami z intencją przemiany. Ale wampiry nie mogą przemieniać każdego. W ten sposób nasza rasa przesadnie by się

rozrosła. Aby kogoś przemienić, muszą najpierw uzyskać zgodę Rady Nadrzędnej.

Caitlin zmarszczyła brwi próbując to wszystko ogarnąć.

– Masz cześć naszych cech, ale nie wszystkie. Niestety, ponieważ nie jesteś pełnej krwi, żadna wampirza rasa cię nie zaakceptuje. Każdy wampir należy do zgromadzenia. Bez tego jest zwyczajnie zbyt niebezpiecznie. W zwykłych okolicznościach, mógłbym zgłosić się z prośbą, by przyjęto Cię do mojego. Ale ze względu na to, że jesteś mieszańcem... Nigdy się na to nie zgodzą. Żadne zgromadzenie cię nie przyjmie.

Caitlin znów się zamyśliła. Jeśli może się człowiekowi przytrafić coś gorszego, niż dowiedzieć się, że nie jest człowiekiem, to jest to dowiedzieć się, że nie jest się w ogóle niczym konkretnym, że nigdzie się nie należy. Że nie pasuje się ani tu, ani tam, tkwi się pomiędzy dwoma światami.

– Więc o co chodziło z tą całą gadką o Mesjaszu. O tym że to ja jestem... Wybrańcem?

– Nasza doktryna, dawne prawo, mówi, że pewnego dnia zjawi się posłaniec, Mesjasz, który zaprowadzi nas do zaginionego miecza. Tego dnia ma zacząć się wojna. Wojna ostateczna. Wojna między wszystkimi rasami, w którą zostaną wciągnięci również ludzie. To nasza wersja Apokalipsy. Jedyne co może to powstrzymać, co może nas wszystkich ocalić, to odnalezienie zaginionego miecza.

A jedyną osobą, która może nas do niego zaprowadzić, jest Mesjasz. Kiedy zobaczyłem to, co przytrafiło ci się dziś, byłem pewien, że ty nim jesteś. Nigdy nie widziałem wampira odpornego na takie ilości święconej wody.

Spojrzała na niego.

– A teraz? – spytała.

– Teraz nie jestem już pewien.

Caitlin wpatrywała się w niego. Czowała jak rośnie w niej desperacja.

– Więc, – zaczęła, nadal bojąc się zadać to pytanie – to był jedyny powód, dla którego mnie uratowałeś? Myślałeś, że zaprowadzę cię do zaginionego miecza?

Spojrzał na nią, a na jego twarzy widoczne było zakłopotanie.

– Jaki inny powód mógłbym mieć? – zapytał.

Poczuła jakby uszło z niej powietrze, jakby ktoś walnął ją kijem. Cała miłość, którą do niego czuła, ta więź, która zdawała się ich łączyć, wszystko uleciało, pękło nagle jak mydlana bańka. Chciało jej się płakać. Chciał odwrócić się i uciec, ale nie miała dokąd iść. Było jej wstyd.

– Zatem, – powiedziała próbując się nie rozplakać – przynajmniej twoja żona będzie szczęśliwa wiedząc, że tylko wykonywałeś swoją pracę. Że nie masz żadnych uczuć do nikogo innego i że w ogóle nic cię nie interesuje poza tym głupim mieczem.

Odwróciła się i odeszła. Nie wiedziała dokąd idzie, ale musiała się od niego uwolnić. Jej uczucia były zbyt przytłaczające. Nie wiedziała jak sobie z nimi poradzić.

Przeszła zaledwie kilka kroków kiedy poczuła jego dłoń na swoim ramieniu.

Odwrócił ją z powrotem w swoją stronę. Stał tak patrząc jej w oczy.

– Ona nie jest moją żoną – powiedział spokojnie – Tak, byliśmy kiedyś małżeństwem, ale to było 700 lat temu i trwało tylko rok. Jednak wśród wampirów nie zapomina się łatwo. Małżeństwa nie można anulować.

Caitlin odepchnęła jego dłoń.

– Cóż, kimkolwiek jest, będzie szczęśliwa, że ma cię z powrotem.

Caitlin wciąż szła, dla samego chodzenia. Znow ją zatrzymał. Tym razem zachodząc jej drogę.

– Nie wiem czym cię uraziłem, ale cokolwiek zrobiłem, przepraszam.

Nie chodzi o to co zrobiłeś, ale o to czego nie zrobiłeś – chciała powiedzieć –

Chodzi o to, że ci nie zależy, że tak naprawdę mnie nie kochasz. Byłam dla ciebie przedmiotem, środkiem do celu. Jesteś jak każdy facet, którego spotkałam. A myślałam, że tym razem będzie inaczej.

Nie powiedziała nic. Zamiast tego opuściła głowę i z całych sił starał się nie rozplakać. Nie udało jej się. Poczuła jak gorące łzy spływają jej po policzkach.

On dotknął dłonią jej twarzy i podniósł ją w górę, zmuszając by na niego spojrzała.

– Przepraszam, – powiedział i brzmiał szczerze – Masz rację, to nie był

jedyny powód, dla którego cię uratowałem – Wziął głęboki wdech.
– Czuję coś do ciebie.

Caitlin poczuła jak wypełnia się jej serce.

– Ale musisz zrozumieć, że to jest zakazane. Prawo jest w tej kwestii bardzo restrykcyjne. Wampir nie może się związać z człowiekiem, ani z pół–krwi, ani kimkolwiek, kto nie jest prawdziwym wampirem. Karą za taki czyn jest śmierć.

Nie można tego obejść.

Caleb spojrział w dół.

– Zatem rozumiesz, że gdybym cokolwiek do ciebie poczuł, gdybym działał z powodów innych niż dobro ogółu, to oznaczało by dla mnie śmierć.

– A więc co stanie się teraz ze mną? – Zapytała rozglądając się wokół – Dano mi jasno do zrozumienia, że tu nie jestem mile widziana. Dokąd mam pójść?

Caleb spojrział w dół kręcąc głową.

– Do domu nie mogę wrócić – dodała – Nie mam już domu. Szuka mnie policja. Ścigają mnie tamte złe wampiry. Co mam zrobić? Iść tam zupełnie sama?

Nawet nie wiem już czym ja właściwie jestem.

– Chciałbym znać odpowiedź. Staralem się. Naprawdę się starałem. Ale nie mogę już nic zrobić. Nikt nie może przeciwstawić się radzie. To by był wyrok śmierci dla nas obojga. Zostałem skazany na 50 lat. Nie mogę opuścić tego miejsca. Gdybym to zrobił, zostałbym wygnany z mojego klanu na zawsze. Musisz to zrozumieć.

Caitlin odwróciła się by odejść, ale on znów ją odwrócił.

– Zrozum mnie. Ty jesteś zaledwie człowiekiem. Twoje życie skończy się za 80 lat. Ale ja mogę żyć jeszcze setki lat. Twoje cierpienie będzie trwać krótko.

Moje jest nieskończone. Nie mogę pozwolić by wygnano mnie na wieczność.

Moje zgromadzenie jest wszystkim, co mam. Kocham cię. Żywię do ciebie uczucia. Uczucia, których sam nie rozumiem. Coś czego do nikogo przez te 3000

lat życia nie czułem. Ale nie mogę zaryzykować opuszczenia tych murów.

– Więc – powiedziała – Zapytam raz jeszcze. Co ja mam teraz począć?

On tylko spuścił głowę.

– Rozumiem – odpowiedziała – Nie jestem już twoim problemem.

Caleb otworzył usta by coś powiedzieć, ale tym razem jej już nie było.

Odeszła naprawdę. Przemknęła przez taras i po kamiennych schodkach. Tym razem naprawdę sobie poszła. W tę zimną ciemną nowojorska noc skierowała się w stronę Bronxu. Nigdy jeszcze nie czuła się taka samotna.

Rozdział Czternasty

Kyle szedł prosto kamiennym korytarzem, otoczony niewielkim orszakiem wampirów. Szli szybko, tupot ich butów niósł się echem. Jeden z adiutantów niósł pochodnię.

Kierowali się do kwater dowództwa, podziemnych komnat, do których żaden wampir nie może wejść bez wcześniejszego uzyskania pozwolenia. Kyle był już kiedyś tak głęboko. Ale tym razem wezwał go sam naczelny dowódca. Przez 4000

lat Kyle nigdy nie został wezwany. Słyszał o innych, których wzywano. Wszyscy schodzili tam, ale nigdy nie wracali.

Z trudem przełykał ślinę i szedł coraz szybciej. Zawsze należał do osób, które wołały jak najszybciej poznać złe wieści i mieć to już z głowy.

Dotarli do dużych drzwi, strzeżonych przez kilka wampirów. Patrzyły na nich chłodno, aż w końcu odsunęły się na boki i otworzyły drzwi. Gdy tylko Kyle przekroczył próg, zablokowali przejście, uniemożliwiając jego świcie wejście wraz z nim. Kyle usłyszał za sobą odgłos zamykających się drzwi.

Po obu stronach sali, w kompletnej ciszy, na baczność stały dziesiątki wampirów. Na końcu sali w masywnym metalowym fotelu siedział Rexus, naczelny dowódca.

Kyle przeszedł kilka kroków po czym uklonił się pochylając głowę i czekając, aż zostanie wezwany.

Recus wpatrywał się w niego zimnym i twardym spojrzeniem swoich lodowato błękitnych oczu.

– Powiedz mi wszystko, co wiesz o tym człowieku, o tej pół–krwi, czy czym tam jest – zaczął – I o tym szpiegu. Jak zdołał przedostać się w nasze szeregi?

Kyle wziął głęboki wdech i zaczął mówić.

– Niewiele wiemy o dziewczynie – powiedział – Nie wiemy dlaczego woda nie wyrządziła jej krzywdy. Ale wiemy, że to ona zaatakowała tego wokalistę.

Jest w naszym areszcie i jak tylko się zregeneruje, zaprowadzi nas do niej. To ona go przemieniła. Ma jej zapach we krwi.

– Do którego z klanów ona należy? – zapytał Rexus.

Kyle starał się ostrożnie dobierać słowa.

– Wydaje nam się, że ona jest tylko w części wampirem.

– Wydaje się wam? A czy czegoś w ogóle jesteście pewni?

Kyle, zbesztany, poczuł, że jego policzki się czerwienią.

– Więc sprowadziłeś ją do naszego gniazda, nic o niej nie wiedząc – podsumował Rexus – Naraziłeś całe nasze zgromadzenie.

– Sprowadziłem ją w celu przesłuchania. Nie miałem pojęcia, że okaże się odporną. ...

– A co ze szpiegiem? – zapytał Rexus, przerywając mu.

Kyle przełknął ślinę.

– Caleb. Przyjeliśmy go 200 lat temu. Wiele razy udowadniał swoją lojalność.

Nigdy nie dał nam żadnego powodu do podejrzeń.

– Kto go zwerbował? – zapytał Rexus.

Kyle zamilkł i ciężko przełknął ślinę.

– Ja.

– Czyli po raz kolejny sprawdziłeś zagrożenie w nasze szeregi.

Rexus patrzył na niego. To nie było pytanie. To było stwierdzenie i pełne było potępienia.

– Przepraszam, mój Panie – powiedział Kyle zniżając głowę – Ale na swoją obronę mogę powiedzieć, że nikt tu, ani jeden z nas, nigdy nie podejrzewał

Caleba. W wielu przypadkach...

Rexus uniósł rękę. Kyle przestał mówić.

– Zmusiłeś mnie do wszczęcia wojny. Będę musiał przekierować wszystkie nasze zasoby. Nasz plan będzie musiał zostać chwilowo zawieszony.

– Przykro mi, Panie. Obiecuję, że zrobię wszystko by ich odnaleźć i należycie ukarać.

– Obawiam się, że na to już za późno.

Kyle przełknął z trudem ślinę i przygotował się na cokolwiek miałby się teraz stać. Jeśli czekała go śmierć, był na nią gotów.

– Teraz nie odpowiadasz już przede mną. Ja sam zostałem wezwany przez Radę Najwyższą.

Kyle otworzył szeroko oczy. Do tej pory słyszał o Radzi Najwyższej, najwyższej instancji, przed którą musi odpowiadać nawet najwyższy dowódca, tylko z plotek. A teraz wiedział, że ona naprawdę istnieje i on został przez nią wezwany. Znow przełknął z trudem ślinę.

– Rada jest bardzo niezadowolona z powodu tego, co tu dziś zaszło. Chcą odpowiedzi. Wytłumaczysz im jakie popełniłeś błędy, jak udało się jej uciec, dlaczego szpieg infiltrował nasze szeregi, opisz plany wyszukania i pozbycia się innych szpiegów. Następnie przyjmiesz ich wyrok w sprawie.

Kyle skinął powoli głową, przerażony tym co ma nastąpić. Nie brzmiało to dobrze.

– Spotkamy się przy następnym nowiu. W ten sposób będziesz miał trochę czasu. Sugeruje wykorzystać go na znalezienie tej pół-krwi. Może okazać się, że

tak uda ci się zostać przy życiu.

– Obiecuję, mój Panie. Wezwę wszystkie wampiry. Sam poprowadzę szarżę.

Znajdziemy ją. Zapłaci nam za to.

Rozdział Piętnasty

Przerażony Jonah siedział na komisariacie. Obok stał jego ojciec, który wyglądał na bardziej zdenerwowanego, niż kiedykolwiek wcześniej. Z drugiej strony siedział jego nowo zatrudniony prawnik. Naprzeciwko nich, w małym, jasnym, pokoju przesłuchań, siedziało pięć detektywów. Za nimi stało jeszcze pięć, wszyscy byli nerwowi i wstrząśnięci tym, co zaszło.

To był największy news dnia. Nie tylko zamordowany został znany na całym świecie wokalista, podczas swojego amerykańskiego debiutu w Carnegie Hall –

został on zamordowany w bardzo podejrzanych okolicznościach. A to był dopiero początek. Kiedy policja ruszyła swoim jedynym tropem do mieszkania, czterech policjantów zginęło. Delikatnie mówiąc, sprawa coraz bardziej się komplikowała.

Teraz, poszukiwany był już nie tylko ” Rzeźnik Beethovena” (lub “Zabójca z Carnegie Hall”, jak niektóre gazety ją nazywały), ale także zabójca policjanta.

Zabójca czterech policjantów. Każdy policjant w mieście zaangażowany jest w tą sprawę i żaden z nich nie spocznie, dopóki nie zostanie ona rozwiązana.

A jedyny trop, jaki mieli, siedział teraz przy stole naprzeciwko nich. Jonah.

Jej partner z tego wieczoru.

Jonah siedział tam z szeroko otwartymi oczami, czując krople potu, spływające po jego czole. Siedział w tym pokoju od siedmiu godzin. Przez pierwsze trzy godziny bez przerwy ocierał pot z czoła. Teraz pozwalał kroplom spływać strużką po skroniach i twarzy. Wykończony, osunął się na krzesło.

Już sam nie wiedział, co mógłby jeszcze powiedzieć. Co chwila nowy policjant wchodził do pokoju, ale ich pytania wciąż się powtarzały. Zadawali je we wszystkich możliwych kombinacjach. A on nie potrafił udzielić na nie żadnych odpowiedzi. Nie mógł zrozumieć, dlaczego cały czas pytają go o to samo. Jak długo ją znasz? Dlaczego przyprowadziłeś ją tam? Dlaczego wyszła w przerwie?

Dlaczego nie poszedłeś za nią?

Jak mogło do tego dojść? Była taka piękna. Tak słodka. Uwielbiał z nią być, rozmawiać. Był pewien, że ta randka będzie spełnieniem jego marzeń.

Potem zaczęła się dziwnie zachowywać. Krótco po tym, jak wybrzmiały pierwsze dźwięki, czuł, jakby narastał w niej niepokój. Wydawała się być nie tyle chora, co... nerwowa. Co więcej: wydawało się, jakby miała zaraz wybuchnąć.

Jakby musiała dokądś pójść i to w tej sekundzie.

W pierwszej chwili pomyślał, że to tylko dlatego, że nie podoba jej się koncert. Zastanawiał się, czy zaproszenie jej tam było złym pomysłem. Potem

zastanawiał się, czy to dlatego, że nie lubiła jego. Ale wtedy jej stan zaczął się pogarszać, mógł prawie poczuć ciepło promieniujące z jej skóry. Wtedy przeszło mu przez myśl, że może była chora, może się czymś zatrula.

Kiedy wystrzeliła ze swojego miejsca, pomyślał, że może pobiegła do toalety.

Nie wiedział, co się dzieje, ale czekał cierpliwie przed drzwiami, zakładając, że wróci po przerwie. Ale po piętnastu minutach od ostatniego dzwonka, wrócił na swoje miejsce zdezorientowany.

Po kolejnych 15 minutach, światła w całej sali zostały zapalone. Na scenę wszedł mężczyzna i oświadczył, że koncert nie będzie kontynuowany, a bilety można zwrócić w kasie. Nie powiedział dlaczego. Cały tłum jęknął zirytowany, ale przede wszystkim zaskoczony. Jonah w całym swoim życiu był na wielu koncertach, ale nigdy nie widział, żeby jakiś został przerwany. Czy wokalista się pochorował?

– Jonah?– rzuciła detektyw.

Jonah spojrzał na nią zaskoczony.

Detektyw patrzyła na niego ze złością. Nazywała się Grace. Była najtwardszym gliną, jakiego kiedykolwiek spotkał. Była bezlitosna.

– Nie słyszałeś, o co pytałam?

Jonah pokręcił przecząco głową.

– Chcę, żebyś mi opowiedział wszystko jeszcze raz, wszystko, co o niej wiesz

– powiedziała.

– Powiedz mi jeszcze raz, jak się spotkaliście.

– Odpowiedziałem na to pytanie już milion razy – Jonah odpowiedział, sfrustrowany.

– Chcę usłyszeć to jeszcze raz.

– Poznałem ją w klasie. Była nowa. Oddałem jej moje miejsce.

– I co było potem?

– Chwile porozmawialiśmy, spotkaliśmy się w stołówce. Zaprosiłem ją, a ona się zgodziła.

– To wszystko? – zapytała detektyw – Nie masz już absolutnie nic do dodania?

Jonah zastanawiał się, jak dużo może im powiedzieć. Oczywiście, było coś więcej. Mógł powiedzieć o tym, jak pobiły go te łobuzy. Tam był jej dziennik, leżał obok niego z niewiadomych przyczyn. Podejrzewał, że mogła tam być. Że to ona mu pomogła. A nawet, że jakimś cudem pobiła tych łotrów. Ale jak to było możliwe, nie miał pojęcia.

Ale co miał powiedzieć tym policjantom? Że dał się pobić? Że wydaje mu się, że widział ją tam, jak bije się z tymi czterema, dwa razy większymi od niej, facetami? To zupełnie nie miało sensu, nie trzymało się kupy. A na pewno nie dla nich. Będą myśleli, że kłamie, że wymyślił sobie to wszystko. Chcieli ją odnaleźć.

A on nie zamierzał im w tym pomagać.

Mimo wszystko czuł się za nią odpowiedzialny. Nie mógł zrozumieć, co naprawdę się tam stało. Jakaś część niego nie wierzył, nie chciała w to uwierzyć.

Czyżby naprawdę zabiła wokalistę? Dlaczego? Czy naprawdę miał dwa otwory w szyi, jak napisały gazety? Czyżby go ugryzła? Czy była jakaś ...

– Jonah – Grace powtórzyła – Zapytałam, czy jest coś jeszcze?

Detektyw spojrzała na niego.

– Nie – powiedział w końcu. Miał nadzieję, że nie zorientuje się, że kłamie.

Nowy detektyw podszedł do niego. Pochylił się i spojrzał prosto w oczy Jonaha.

– Czy tego wieczoru powiedziała coś, co pozwoliło ci myśleć, że była nieźrównoważona psychicznie?

Jonah zmarszczył brwi.

– Znaczą, szalona? Dlaczego mógłbym tak pomyśleć? Była świetną towarzyszką. Bardzo ją lubię. Jest inteligentna i miła. Lubię z nią rozmawiać.

– A dokładniej to o czym rozmawiać? – wtrąciła się znowu pani detektyw.

– O Beethovenie – Jonah odpowiedział.

Detektywi spojrzeli po sobie. Mieli taki wyraz twarzy, jakby im powiedział: “o pornografi”.

– O Beethovenie, powiadasz? – jeden z detektywów, napakowany facet koło 50tki, zapytał drwiącym głosem.

Jonah był wyczerpany i nie mógł się powstrzymać.

– Tak, to taki kompozytor.

– Wiem, kim był Beethoven, gówniarzu! – wrzasnął detektyw.

Inny detektyw, potężny człowiek po 60-tce z wydętymi, czerwonymi policzkami, zrobił trzy kroki w przód, oparł dłonie na blacie stołu i pochylił się na tyle blisko, że Jonah mógł poczuć jego śmierdzącego kawał oddech.

– Słuchaj kolego, to nie jest zabawa. Czterech policjantów nie żyje z powodu twojej małej koleżanki – powiedział – Teraz wiemy, że wiesz, gdzie się ukrywa –

dodał – Lepiej zacznij mówić.

Prawnik Jonaha podniósł rękę

– To jest wyłącznie hipoteza, detektywie. Nie możesz zarzucić mojemu klientowi, że...”

– Nie obchodzi mnie twój klient! – detektyw był wściekły.

W pokoju zapadła nerwowa cisza.

Nagle drzwi się otworzyły i do środka wszedł inny detektyw w rękawiczkach lateksowych. W ręku niośł telefon Jonaha, położył go na stole obok chłopaka.

Jonah ucieszył się na jego widok.

– Masz coś? – zapytał jeden z policjantów.

Policjant zdjął rękawiczki i wyrzucił je do kosza. Potrząsnął głową.

– Nic. Telefon dzieciaka jest czysty. Dostał od niej kilka smsów przed koncertem i tyle. Dzwoniliśmy do niej. Ma wyłączony telefon. Wyciągamy teraz jej bilingi. W każdym razie, chłopak mówi prawdę. Przed dniem wczorajszym, nigdy wcześniej nie pisała ani nie dzwoniła na jego numer.

– Mówiłem wam – Jonah warknął na policjantów.

– Skończyliśmy tutaj? – zapytał adwokat Jonaha.

Detektywi odwrócili się i spojrzeli po sobie.

– Mój klient nie popełnił żadnego przestępstwa, nie zrobił nic złego.

Współpracował w wami na każdym etapie postępowania, odpowiadał na wszystkie pytania. Nie ma zamiaru opuszczać stanu, a nawet miasta. Stawi się na przesłuchanie w dowolnym momencie. Proszę teraz, żebyście go wypuścili. On jest uczniem, rano idzie do szkoły – prawnik spojrział na zegarek – Jest już prawie 1 w nocy, panowie.”

W tym momencie w pokoju rozległ się głośny dźwięk dzwonka, któremu towarzyszyły silne wibracje. Wszyscy spojrzeli na telefon Jonaha, leżał tam na metalowym stole. Znowu zawibrował i zaświecił. Zanim zdążył po niego sięgnąć, telefon już był w rękach policjantów. Zdołał tylko zerknąć, od kogo był

wiadomość. To była Caitlin.

Chciała wiedzieć, gdzie teraz był.

Rozdział Szesnasty

Caitlin ponownie sprawdziła swój telefon. Była 1 rano, a ona właśnie napisała do Jonaha. Nie odpisał jej. Pewnie spał. A nawet jeśli nie spał, to pewnie i tak nie chciał z nią rozmawiać. Napisanie to niego było jedyną rzeczą, która przyszła jej do głowy.

Kiedy oddaliła się od Cloisters, w świeżym, nocnym powietrzu, jej myśli zaczęły się klarować. Im dalej odchodziła od tego miejsca, tym lepiej czuła.

Obecność Caleba, jego energia, powoli ją opuszczała, a ona zaczęła czuć jakby znowu mogła myśleć jasno.

Z jakiegoś powodu, kiedy była z nim, nie była w stanie zebrać myśli. Jego obecność ją przytłaczała. Nie mogła wtedy myśleć o czymkolwiek, czy kimkolwiek innym.

Teraz, kiedy była już sama, z dala od niego, myśli o Jonahu powróciły. Czuła się źle tym, że polubiła Caleba, czuła jakby zdradziła Jonaha. W szkole Jonah był

dla niej taki miły, taki dobry podczas randki. Zastanawiała się, co teraz o niej myśli. Pewnie ją znienawidził.

Szła przez park Fort Tryon i co chwila sprawdzała telefon. Całe szczęście, że jej telefon był taki mały i że dobrze ukryła go w wewnętrznej kieszeni swojej sukienki. Dzięki temu miała go nadal przy sobie.

Niestety bateria była prawie pusta. Telefon ładowała prawie dwa dni temu i wiedziała, że zaraz padnie. Zostało jej tylko kilka minut.

Miała nadzieję, że Jonah zdaży odpowiedzieć. W przeciwnym razie, nie było żadnego innego sposobu, żeby się z nim skontaktować.

Śpi? Czy ją ignoruje? Nie mogła go za to winić. Na jego miejscu też by siebie ignorowała.

Caitlin szła i szła przez park. Nie miała pojęcia, dokąd zmierza. Wiedziała, że musi odejść jak najdalej od tego miejsca. Od Caleba. Od wampirów. Od tego wszystkiego. Chciała tylko wrócić do swojego normalnego życia. W głębi duszy miała nadzieję, że jeśli odejdzie wystarczająco daleko, może zdoła od tego wszystkiego uciec. Może wschodzące słońce przyniesie nowy dzień, który wyrwie ją z tego okropnego snu.

Spojrzała na telefon. Bateria była prawie zupełnie wyladowana. Wiedziała, że za nie dłużej niż minutę, telefon się wyłączy. Nie odrywała od niego oczu, cały czas mając nadzieję, modląc się, żeby Jonah odpowiedział. Pragnęła, żeby zadzwonił i powiedział *Gdzie jesteś? Przyjadę zaraz po ciebie*. Miała nadzieję, że ją ocali.

Telefon nie miał dla niej litości. Bateria zupełnie się wyladowała i telefon padł na amen.

Zrezygnowana, schowała go z powrotem do kieszeni. Straciła resztki nadziei.

Pogodziła się z tym, że nie ma już nikogo. Od teraz mogła liczyć wyłącznie na siebie. Podobnie z resztą, jak zawsze.

Wyszła z parku Fort Tryon i z powrotem znalazła się w mieście, na Bronksie.

To dało jej odrobinę normalności. Kierunku. Nie miała co prawda dokąd pójść, ale kierowała się w stronę Midtown.

Tak. To tam pójdzie. Penn Station. Chciała złapać pociąg, który zabierze ją z dala od tego wszystkiego. Może mogłaby wrócić do swojego poprzedniego miasta. Może jej brat nadal tam będzie. Mogłaby zacząć wszystko od nowa. Jak gdyby to wszystko się nigdy nie wydarzyło.

Rozejrzała się po okolicy: wszędzie graffiti, na każdym rogu pełno naciągaczy.

Jakimś cudem, póki co, nikt jej nie zaczepiał. Może czuli, że nic jej nie zostało.

Że nie mają czego jej odebrać.

Zobaczyła znak. 186 Ulica. Przed sobą miała daleką drogę. 150 bloków do dworca Penn Station. Zajmie jej to całą noc. Ale tego właśnie teraz potrzebowała.

Oczyścić myśli. Z Caleba, Jonaha. Wydarzeń z ostatnich dwóch dni. Widziała przed sobą inną przyszłość, była gotowa iść całą noc.

Rozdział Siedemnasty

Gdy Caitlin obudziła się, był już ranek. Bardziej czuła, niż widziała promienie słońca padające na nią, podniosła chwiejnie głowę, by zorientować się w otoczeniu. Czuła zimno kamiennej powierzchni na skórze ramion i czoła. Gdzie mogła się znajdować?

Unosząc głowę i rozglądając się zdała sobie sprawę, że jest w Central Parku.

Przypomniała sobie, że zatrzymała się tu po drodze, jakoś w nocy, by odpocząć.

Była zmęczona, tak strasznie utrudzona. Musiała zasnąć na siedząco, gdy oparła głowę na marmurowej balustradzie.

Był już późny poranek, już sporo osób przechodziło przez park. Właśnie mijala ją starsza pani z młodą córką, posyłając jej niespokojne spojrzenie.

Staruszka przyciągnęła córkę bliżej, gdy były blisko.

Caitlin usiadła prosto i rozejrzała się. Kilka osób gapiło się na nią, była ciekawa co sobie myślą. Spojrzała na swoje zabrudzone ubrania, ale nie przejęła się wcale. Chciała tylko wydostać się z tego miasta, z tego miejsca, w którym wszystko nagle się popsuło.

Uczucie uderzyło zniechęca. Głód. Rwący ból, była głodna bardziej niż kiedykolwiek. Ale nie był to zwyczajny głód, a szalony, pierwotny popęd. By pożywić się. Jak ten, który czuła w Carnegie Hall.

Mały chłopiec bawił się piłką, miał nie więcej jak sześć lat. Przypadkiem kopnął piłkę w jej pobliże i popędził w tym kierunku. Jego rodzice byli już daleko, conajmniej kilkanaście metrów.

To była jej szansa. Każda kostka w jej ciele zawyła o pożywienie. Zapatrzyła się na jego szyi, skoncentrowała na pulsującej krwi. Czuła ją. Prawie jak zapach pod samym nosem. Chciała rzucić się na chłopca.

Ale gdzieś głęboko, jakaś część jej samej zatrzymała ją. Wiedziała, że umrze z głodu, jeśli się nie pożywi, i że ta chwila szybko się

zbliża. Ale wolałaby umrzeć, niż skrzywdzić to dziecko. Dała mu odejść.

Światło słoneczne było przykre, ale do zniesienia. Czy to dlatego, że była pół–krwi? Jak działałoby na inne wampiry? Może to da jej jakąś przewagę.

Rozejrzała się, mrużąc oczy pod promieniami słońca, czując się oszołomiona i zdezorientowana. Wokół było tylu ludzi, tyle zamieszania. Dlaczego zatrzymała się tutaj? Gdzie chciała dotrzeć? Tak... na Penn Station.

Poczuła ból w umęczonych nogach, obolałych od długiej drogi. Ale była już blisko. Nie dalej jak trzydzieści przecznic. Przejdzie resztę drogi, złapie pociąg i wreszcie się stąd wydostanie. Zmusi się do tego, wyłącznie siłą woli, by znowu

być zwyczajną dziewczyną. Jeśli znajdzie się wystarczająco daleko od metropolii plan miał szansę się udać.

Caitlin wstała powoli, przygotowując się do drogi.

– Stój! – rozległ się krzyk.

– Nie ruszaj się! – wrzasnął ktoś inny.

Caitlin obróciła się wolno.

Przed nią stał przynajmniej tuzin umundurowanych nowojorskich policjantów, każdy trzymał broń wycelowaną w nią. Utrzymywali dystans, jakieś kilka metrów, jakby bali się podejść bliżej. Jakby mieli do czynienia z dzikim zwierzęciem.

Spojrzała na nich i, o dziwo, nie poczuła strachu. Zamiast tego poczuła dziwny spokój, który rósł w jej wnętrzu. Zaczynała czuć się silniejsza niż ludzie. I z każdą mijającą chwilą coraz mniej czuła się częścią ludzkiej rasy. Czuła się dziwnie potężna, czuła że nieważne ilu by ich nie było, czy jaką dysponowali bronią, mogła im uciec lub ich pokonać.

Z drugiej strony czuła się zmęczona. Zrezygnowana. Część niej nie chciała już więcej uciekać. Przed policją. Przed wampirami. Nie wiedziała gdzie ucieka, ani

– tak naprawdę – przed czym. Czuła, że w jakiś dziwny sposób ucieszyłoby ją aresztowanie przez policję. Przynajmniej to byłoby czymś normalnym, racjonalnym. Może poprzestawiałoby jej w głowie i uświadomiło, że wciąż jest normalną osobą.

Policjanci powoli zbliżali się do niej z bronią w rękę, poruszając się z największą ostrożnością.

Obserwowała jak się zbliżają, bardziej zaciekawiona niż przestraszona. Jej zmysły wyostrzyły się. Widziała każdy, najdrobniejszy szczegół. W

najdrobniejszych detalach widziała kształt ich broni, kontur spustów, nawet jak długie mieli paznokcie.

– Podnieś rękę wysoko! – wrzasnął policjant.

Najbliższy z nich był tylko o kilka kroków od niej.

Pomyślała, jak wyglądałoby jej życie, gdyby jej ojciec nigdy ich nie opuścił.

Gdyby nigdy się nie przeprowadzili. Gdyby miała inną mamę. Gdyby zostali w jednym z tych miast. Może znalazłaby chłopaka. Czy kiedykolwiek była normalna?

Czy jej życie mogłoby być normalne?

Najbliższy policjant był już na wyciągnięcie ręki.

– Odwróć się i skrzyżuj ręce za plecami – powiedział policjant – Tylko powoli.

Powoli opuściła ramiona, obróciła się i skrzyżowała ręce za plecami. Czuła, że policjant chwyta ją mocno za jeden nadgarstek, potem drugi i wykręca jej rękę

zbyt mocno, zbyt wysoko, zbyt brutalnie. Żalodne zachowanie. Czuła zimny uścisk kajdanek, czuła metal wrzynający się w skórę.

Policjant złapał ją za włosy, o wiele za mocno, przyciągnął blisko i zbliżył

usta do jej ucha.

– Trafisz na krzesło elektryczne – wyszeptał.

I wtedy, znienacka, wszystko oszalało.

Zanim zdążyła zorientować się, że coś się dzieje, usłyszała obrzydliwy odgłos druzgotanych kości i obryzgała ją krew – poczuła jej wilgoć i zapach na całej twarzy.

Słyszała wściekłe krzyki i wrzaski przerażenia, padły strzały, wszystko w ułamku sekundy. Dopiero, gdy instynktownie padła na kolana, okręciła się za siebie i spojrzała w górę, zorientowała się, co się dzieje.

Policjant, który ją skuł był martwy, leżał z roztrzaskaną na pół głową. Reszta policjantów strzelała na oślep, ale nie mieli szans. Banda wampirów – ci, których widziała w Ratuszu – opadła ich zewsząd. Rozdzierali policjantów na strzępy.

Ludzie zdołali postrzelić kilku z nich, ale efekty były mizerne. Wampiry wciąż nacierały, rządząc sobie absolutną rzeź.

W przeciągu kilku sekund, policjanci zamienili się w krwawe strzępy.

Nagle Caitlin poczuła znajomy żar krwi burzącej się w jej żyłach, poczuła moc wypełniającą ją od stóp, przez ramiona i ręce. Z łatwością rozerwała kajdanki. Podniosła ręce do twarzy i zapatrzyła się na nie, zadziwiona swą własną siłą. Metalowe obręcze zwiślały jej z nadgarstków, lecz jej ręce były wolne.

Skoczyła na równe nogi, przyglądając się z fascynacją krwawej scenie rozgrywającej się przed nią. Cała banda wampirów pochylona nad ciałami policjantów. Wydawali się zbyt zajęci, by ją zauważyć. Zdała sobie sprawę z tego, że musi uciekać. Natychmiast.

Lecz zanim zdołała cokolwiek zrobić, poczuła lodowaty, nieludzko silny uścisk na karku. Zerknęła za siebie i natychmiast rozpoznała twarz. To Kyle. W

swoich oczach miał śmierć.

Uśmiechnął się do niej, choć grymas bardziej przypominał bestię obnażającą kły.

– Nie przybyliśmy ci na ratunek – powiedział – lecz by odebrać naszą własność.

Próbowała walczyć. Zamachnęła się na niego, lecz z łatwością zablokował jej cios i schwycił ją za gardło. Nie mogła oddychać. Był dla niej zbyt silny.

– Możesz być odporna na to i owo – powiedział – ale siłą zupełnie mi nie dorównujesz. I nigdy nie dorównasz.

Nagle zobaczyła kolejne mignięcie w tle i poczuła, że znowu może oddychać.

Zaskoczona zobaczyła, że Kyle nagle leci w tył. Rzuciło nim tak mocno, że roztrzaskał marmurową barierkę i spadł za nią.

Spojrzała za siebie i zobaczyła, kto dorównał mu siłą.

Caleb.

Był przy niej.

Zanim była w stanie zrozumieć co się dzieje, poczuła znajomy silny uścisk wokół swej talii, jego muskularne ramię i pierś, czuła że trzyma ją, gdy puścili się pędem przed siebie, wciąż szybciej, jak poprzedniej nocy. Biegli przez Central Park na południe, po chwili drzewa zaczęły rozmywać się po bokach. Wzbili się w powietrze. Po raz kolejny lecieli.

Byli wysoko w powietrzu, nad miastem, gdy Caleb rozpostarł skrzydła i owinał ją nimi.

– Myślałam, że nie możesz odejść – w końcu powiedziała Caitlin.

– Nie mogę – powiedział Caleb.

– Więc... czy to znaczy, że zostaniesz–

– Wgnany. Tak.

Poczuła się oszołomiona szczęściem. Zostawił dla niej wszystko.

Gdy tak lecieli, wyżej i wyżej, prawie pośród chmur, Caitlin nie miała pojęcia, gdzie się kierują. Spojrzała w dół i zobaczyła, że zostawiają miasto z tyłu. Poczuła ulgę. Czuła się szczęśliwa, zostawiając wszystko za sobą- teraz mogła zacząć od nowa. Było jej tak dobrze w ramionach Caleba. Niebo przed nimi rozjarzyło się ciepłym, ciemnozłotym blaskiem, wtedy pomyślała, że ta chwila mogłaby trwać wiecznie.



Już dostępna!

[KOCHANY](#)

(Druga Część Serii Wampirze Dzienniki)

Caitlin i Caleb wyruszają we wspólną misję odnalezienia jedyne go przedmiotu, który może zapobiec nadchodzącej wojnie między wampirami a ludźmi: Zaginionego Miecza. Pojawia się jednak poważne wątpliwości co do tego, czy przedmiot wampirzego kultu, w ogóle istnieje.

By dowiedzieć się tego, muszą najpierw poznać historię pochodzenia Caitlin. Czy rzeczywiście jest Wybrana? Poszukiwania zaczynają od ojca Caitlin. Kim był?

Dlaczego ją porzucił? W miarę odkrywania tajemnicy, poznają coraz więcej szokujących faktów, na temat tego, kim dziewczyna jest.

Nie tylko oni szukają jednak legendarnego miecza. W ślad za Caitlin i Calebem wyruszyli przedstawiciele rodu Blacktide Coven. Co gorsza, młodszy brat Caitlin, Sam, obsesyjnie pragnie odnaleźć ojca. Wkrótce chłopak znajdzie się w samym środku wojny wampirów. Czy uda mu się przeszkodzić im w poszukiwaniach?

Caitlin i Caleb udadzą się w podróż śladami historycznych miejsc – z Hudson Valley, do Salem, serca zabytkowego Bostonu – gdzie kiedyś wieszano czarownice na wzgórzu Boston Common. Dlaczego te miejsca mają takie znaczenie dla rasy wampirów? I co mają wspólnego z przodkami Caitlin i z tym, czym teraz się staje?

Nie jest jednak pewne, czy ich misja zostanie wykonana. Wzajemna miłość Caitlin i Caleba rozkwita. A ich zakazany romans może zniweczyć wszystkie ich plany...



Książki # 3 – #11 serii Wampirze Dzienniki są już dostępne!

“KOCHANY, druga książka z serii Wampirze Dzienniki, jest równie dobra, jak część pierwsza, PRZEMIENIONA. Trzymająca w napięciu powieść, przepełniona akcją, romanssem i przygodą. Ta książka sprawi, że zapragniesz przeczytać kolejne dzieła Morgan Rice. Jeśli podobała ci się pierwsza część serii, koniecznie sięgnij po KOCHANEGO. Ta książka może być traktowana, jako kolejny odcinek, ale Rice postarała się, by czytelnik nie musiał znać pierwszej części, by móc w pełni cieszyć się KOCHANYM”

—Vampirebooksite.com

“Cała seria Wampirzych Dzienników miała rewelacyjną fabułę, a od KOCHANEGO wprost nie sposób się oderwać. Zakończenie jest tak ekscytujące, że natychmiast zapragniesz sięgnąć po kolejną książkę, żeby zobaczyć, co będzie dalej. Jak widać, ta książka jest prawdziwą perełką w serii i zasługuje na solidną 5. ”

—The Dallas Examiner

“W KOCHANYM, Morgan Rice po raz kolejny udowadnia, jak wyjątkowo utalentowaną jest pisarką... Wciągająca i zabawna, ta

część podobała mi się jeszcze bardziej, niż poprzednia. Już nie mogę się doczekać kolejnej.”

—The Romance Reviews

[KOCHANY](#)

(Druga Część Serii Wampirze Dzienniki)

THE SORCERER'S RING



THE SURVIVAL TRILOGY



the vampire journals



[Ściągnij książki Morgan Rice!](#)



[Słuchaj](#) serii Wampirze Dzienniki na audiobooku!

Dostępne na:

[Amazon](#)

[Audible](#)

[iTunes](#)

Books by Morgan Rice

THE SORCERER'S RING

A QUEST OF HEROES (Book #1) – Wyprawa Bohaterów

A MARCH OF KINGS (Book #2) – Marsz Władców

A FATE OF DRAGONS (Book #3) – Los Smoków

A CRY OF HONOR (Book #4) – Zew Honoru

A VOW OF GLORY (Book #5) – Blask Chwały

A CHARGE OF VALOR (Book #6) – Szarża Walecznych

A RITE OF SWORDS (Book #7) – Rytuał Mieczy

A GRANT OF ARMS (Book #8) – Ofiara Broni

A SKY OF SPELLS (Book #9) – Niebo Zaklęć

A SEA OF SHIELDS (Book #10) – Morze Tarcz

A REIGN OF STEEL (Book #11) – Żelazne Rządy

A LAND OF FIRE (Book #12) – Kraina Ognia

A RULE OF QUEENS (Book #13) – Rządy Królowych

AN OATH OF BROTHERS (Book #14)

A DREAM OF MORTALS (Book #15)

A JOUST OF KNIGHTS (Book #16)

THE GIFT OF BATTLE (Book #17)

THE SURVIVAL TRILOGY

ARENA ONE: SLAVERSUNNERS (Book #1)

ARENA TWO (Book #2)

THE VAMPIRE JOURNALS

TURNED (Book #1)

LOVED (Book #2)

BETRAYED (Book #3)

DESTINED (Book #4)

DESIRED (Book #5)

BETROTHED (Book #6)

VOWED (Book #7)

FOUND (Book #8)

RESURRECTED (Book #9)

CRAVED (Book #10)

FATED (Book #11)

Morgan Rice

Morgan Rice jest autorką bestsellerowej serii 11-stu książek o wampirach WAMPIRZE DZIENNIKI, skierowanej do młodego czytelnika; bestsellerowej serii thrillerów post-apokaliptycznych THE SURVIVAL

TRILOGY, złożonej z dwóch książek; i bestsellerowej serii fantasy THE SORCERER'S RING, złożonej z trzynastu książek.

Powieści Morgan są dostępne w wersjach audio i drukowanej, a przekłady książek są dostępne w języku niemieckim, francuskim, włoskim, hiszpańskim, portugalskim, japońskim, chińskim, szwedzkim, holenderskim, tureckim, węgierskim, czeskim, polskim i słowackim (i w kilku językach w przygotowaniu).

[PRZEMIENIONA](#) (pierwsza część serii Wampirze Dzienniki),

[ARENA ONE](#) (pierwsza część THE

SURVIVAL TRILOGY) i [QUEST OF HEROES](#) (pierwsza część serii the Sorcerer's Ring), dostępne są do pobrania za darmo w Google Play!

Morgan czeka na wiadomości od Ciebie. Odwiedź stronę www.morganricebooks.com i dołącz do listy mailingowej, a otrzymasz bezpłatną książkę, darmowe prezenty, darmową aplikację do pobrania i najnowsze informacje. Dołącz do nas na Facebooku i Twitterze, i pozostań w kontakcie!

Document Outline

- [Rozdział Drugi](#)
- [Rozdział Trzeci](#)
- [Rozdział Czwarty](#)
- [Rozdział Piąty](#)
- [Rozdział Szósty](#)
- [Rozdział Siódmy](#)
- [Rozdział Ósmy](#)
- [Rozdział Dziewiąty](#)
- [Rozdział Dziesiąty](#)
- [Rozdział Jedenasty](#)
- [Rozdział Dwunasty](#)
- [Rozdział Trzynasty](#)
- [Rozdział Czternasty](#)
- [Rozdział Piętnasty](#)
- [Rozdział Szesnasty](#)
- [Rozdział Siedemnasty](#)